STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Bądź jak meteor — jak błyskańce,
Które pociska Zeus i Bóg,
Bądź jak te gwiazdy-opętańce,
Co same swych szukają dróg.

Zorze za tobą idą, zorze, —
Zorzana płynie krasa z róż...
Chaosu lotem zmierz przestworze
I pal i depc i siecz i płuż.[1])

Ktokolwiek obecnie pisać zamierza o Stanisławie Wyspiańskim, musi sobie zdawać sprawę z niezwykle wielkich trudności swego zadania.

Nie na tem one polegają, że mówić ma o artyście, który działał nie tylko na polu poezyi, lecz był także w równej mierze i malarzem, a nawet i w plastyce sił próbował. Krytyka literacka bowiem w dzisiejszych czasach obejmować musi cały zakres sztuki, literacki charakter zaznaczając jedynie wyborem punktu obserwacyjnego. Zapewne zabraknie jej znajomości wielu technicznych szczegółów, ale też nikt ich od niej nie będzie żądał. Z całym natomiast spokojem krytyk literacki z chwilą, gdy wogóle nazwy tej godnym się być mieni, podjąć się może wyprowadzenia i malarskich objawów z duszy artysty, jak i na odwrót spożytkowania malarskich dzieł artysty do wyjaśnienia jego zasadniczego ducha.

---

[1]) Wiersz St. Wyspiańskiego, ogłoszony ze spuścizny pozgonnej w Krytyce za styczeń 1908 r. — (Przyp. aut.).

I nie na tem także polegają trudności naszego przedsięwzięcia, że i w poetyckiej twórczości St. Wyspiańskiego niektóre momenty są niejasne. Nie dodajemy: n a m niejasne, bo śmiemy twierdzić, że zupełnie jasnemi nie są one dla nikogo, a ci, którzy przeciwnie o sobie samych głoszą, albo nie są szczerymi, albo właśnie tą zuchwałością składają dowód, iż jeszcze mniej przenikają tajniki poety niż tamci, skromniejsi. Bezwzględnie biorąc, istnienie owych niejasności nie stanowi jeszcze nic o wartości ich twórcy. Pomijając już fakt, że nawet u tak przejrzystego poety jak Mickiewicz, niejedno słowo niewątpliwie na zawsze pozostanie zagadką nie do rozwiązania — choćby owo sławne, tylekroć bezskutecznie wyjaśniane „czterdzieści i cztery“ — przytoczyć trzeba z literatury światowej dwa przzkłady, które posłużyć mogą do określenia charakteru ciemności Wyspiańskiego. W H a m l e c i e, jak wiadomo, nie ma ani jednej sytuacyi zagmatwanej, ani jednego słowa niezrozumiałego, natomiast setki już uczonych komentarzy napisano bezowocnie celem wyświetlenia i charakteru bohatera i zasadniczego problemu tragedyi. Wprost przeciwnie ma się rzecz z drugą częścią F a u s t a: tam wiemy dokładnie, jaką myśl poeta chciał przez wszystkie ustępy dzieła przeprowadzić, lecz błąkamy się z chwilą, gdy każdą z cząstek utworu pragniemy szczegółowo zbadać. Niejasność Wyspiańskiego nie jest zagadką H a m l e t a, podobną jest natomiast do tajników F a u s t a: czasem z łatwością i z zupełną pewnością, czasem z trudem i z pewnemi wątpliwościami, zawsze jednak ostatecznie i z dużem prawdopodobieństwem zdołamy określić ideę utworu, a męka i zwątpienie ogarnia nas dopiero wobec wielu poszczególnych scen, obrazów, nawet zdań i słów. Podobny w tem do Goethego, Wyspiański jednak nie jest zupełnie takim samym. Najprzód, zastanowiwszy się nad jego i nad F a u s t a niejasnością, dostrzeżemy, że źródła ich daleko od siebie leżą. Goethe, jak w całem swem arcydziele, tak i w ciemnych dotychczas jego ustępach czerpał z olbrzymich zasobów w i e d z y, wiedzy przyrodniczej, filozoficznej, historycznej, w niemałym zakresie także demonologicznej; im bardziej zatem i my do tych dostępnych i dla nas skarbów dotrzemy, tem więcej na tej podstawie zagadek rozwikłać potrafimy; ztąd widzimy, jak z roku na rok mapa F a u s t a w miarę postępu badań coraz mniej ma czarnych plam i z całą pewnością przewidzieć możemy, że prędzej czy później i najgłębiej położone krainy tej poetyckiej Afryki przestaną być nieznanemi. Inaczej

jest z Wyspiańskim. Jego twórczość, mimo istniejących oczywiście związków z realnym światem, jest szczególnie właśnie w tych zawiłościach płodem niesłychanie bogatej ale przytem dziwnie rozbujałej wyobraźni, której chaotycznego biegu żaden badacz, żaden krytyk określić nie zdoła. Nie koniec na tem. Uprzedzając już tutaj dalsze wywody stwierdzić trzeba, że wszystkie Wyspiańskiego utwory a przynajmniej ich grupy są z sobą ściśle spojone, każdy następny jest dopowiedzeniem poprzedniego, ale dopowiedzeniem jeszcze nie zupełnem, jeszcze dalszego ciągu wymagającym (dowodem tego jest fakt, że poeta często albo kilkakrotnie ten sam motyw opracowywał n. p. rapsod o Bolesławie Śmiałym, dramat o nim a potem Skałka, albo myśl jednego utworu dalszemi wyjaśniał, podkreślał lub rozszerzał n. p. Wesele, Wyzwolenie, Akropolis). Dzięki temu, póki żył, zawsze można było spodziewać się od przyszłych dzieł odpowiedzi na pytania, poprzedniemi wywołane; dzisiaj, gdy umarł, któż dopowie nam brakującą część? Ale zestawiając go z Goethem, nie podobna nie poruszyć i innych także różnic, choćby się i sobie i drugim miało tą bezwzględną analizą przykrość sprawić. Oto, cokolwiek się powie o sile geniusza Wyspiańskiego, musi się stwierdzić, że duch jego był potężniejszym niż artystyczne środki jego wypowiadania się, że więc niejedna niejasność zwłaszcza jest skutkiem tej dysproporcyi między zamiarem i wykonaniem. Z prawdziwym bólem i tej sprawy dotknąć trzeba — którą dotychczas, o ile wiemy, jeden p. Kotarbiński w swem studyum o Wyspiańskim miał odwagę określić — że prawdopodobnie na kilku dziełach położyła swą straszną rękę niszcząca organizm poety choroba, zapewne nie na przejrzystych ale właśnie na ciemnych ustępach tych utworów. Dwie ostatnie przyczyny oddziaływują fatalnie na czytelników i krytyków Wyspiańskiego, paraliżując ich wysiłki, zdążające do wyświetlenia tajników: gdyby nie te dwa momenty, szukałoby się klucza z nadzieją, że przecież w końcu go się znajdzie; tak zaś brak otuchy osłabią nasz wzrok, a nawet, gdzie zdaje się nam, żeśmy tajemnicę przeniknęli, pytamy się z trwogą, czy to nie ułuda, czy sztucznie nie czynimy jasnem, co z natury jest ciemnem, nie zasługujemy i my w zmienionym nieco sensie na drwiące skarcenie słowami Goethego:

„Im Auslegen seid frisch und munter!
Legt Ihr's nicht aus, so legt was unter!“
„Legt ihr nicht aus
So legt nur fleissig unter.“

Jeśli więc nie w dwoistej naturze poety-malarza i nie w niejasnościach jego dzieł tkwi główna trudność pracy o nim, to gdzież się ona znajduje? Oto w tej okoliczności, że piszemy o artyście świeżo zmarłym. Prawda, ma się w ten sposób *privilegium* zaiste *odiosum*, że leżą przed krytykiem wszystkie utwory Wyspiańskiego, że nie dopisze on do nich już ani słówka, że ogłoszone będą z pozostałych po zmarłym papierów drobne chyba już tylko urywki, które według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zmienią sądu o poecie (najważniejszą może cząstkę tej spuścizny, listy do przyjaciół zna się z charakterystycznej próbki, w *Czasie* przez p. Rydla ogłoszonej, z pięknego opisu katedry w Chartres). Ale to wszystko, cały ten obszerny a zamknięty w sobie materyał dostępny będzie i za dziesięć lat i w jakiejkolwiek odleglejszej przyszłości. Dzisiaj zaś mamy go wprawdzie, lecz z nim razem wspomnienie niedawnej śmierci, śmierci tak przedwczesnej. Ztąd wyłania się pierwsza trudność: za życia Wyspiańskiego byłoby nieprzyzwoitością mówić o człowieku, o kolejach i przejściach jego zwykłego ludzkiego żywota; przy zmarłym już ten czynnik trzeba uwzględnić; bo przyznając, że biografia jego nigdy nie będzie w tym stopniu kluczem, otwierającym świątynię jego twórczości, jak n. p. u Heinego lub Byrona, niepodobna jej jednak pominąć milczeniem przy rozważaniu jego dzieł, czego dowodem są bodaj nieliczne ale tak bardzo charakterystyczne jego liryki. Zresztą kto wie, czy Wyspiański, nawet gdyby był nie był poetą, nie byłby niesłychanie zajmującą osobistością, — tyle w nim było pozornej sprzeczności: niebiańska słodycz złączona z bezlitosną ironią, cicha skromność z wygórowaną pewnością siebie, mistyczne zadumanie z błyskawicami dowcipu. To wszystko kiedyś przyszły jego biograf zanalizuje. Ale krytyk, piszący o nim w dwa miesiące po jego zgonie? Od niego domagać się wolno więcej niż od tych, którzy pisali za życia Wyspiańskiego, jemu samemu zaś powstrzymuje pióro niejednokrotnie uzasadniona obawa, by z tego żywota nie ukazać za wiele, choćby najmniej drażliwych szczegółów, bo choć poeta spoczął na Skałce, życie jego jeszcze prawie do teraźniejszości należy. Więc może w takim razia lepiej byłoby wcale dzisiaj nie pisać? Nie. Odwołanie się do sądu przyszłości zachowa niewątpliwie znaczenie w sprawach artystycznych, mimo to jednak nawet dla tej potomności pożądanym będzie sąd współczesnych. Wobec Wyspiańskiego zaś znaczyć on będzie tem więcej, bo poeta ten wywarł na współczesnych ogromny wpływ. Lecz zdawałoby się, że sąd

ten już dostatecznie wyraźnie został wypowiedzianym, że zatem nie ma potrzeby ogłaszania go jeszcze raz. Zapewne, o Wyspiańskim pisano już wiele, bardzo wiele, szczególnie o niektórych najgłośniejszych jego dziełach. Popierwsze jednak, wszystkie te książki, broszury, rozprawy dzisiaj już nie są zupełne, bo pisane były przed zakończeniem życia i twórczości poety, więc nietylko nie znają jeszcze ostatnich jego utworów, lecz ponadto z góry dostępny sobie materyał uważają za fragmentaryczny. Powtóre zaś niemal wszystkie pisane są z niedostateczną dozą przedmiotowości, albo *cum studio* albo *cum ira*, częściej, daleko częściej w pierwszym nastroju niż w drugim. W jednym z lirycznych wierszów Wyspiańskiego czyta się te nietylko bezwzględne, ale — jakby się zdawało — i niesprawiedliwe słowa:

„Niech nikt nad grobem mi nie płacze
Krom jednej mojej żony,
Za nic mi wasze łzy sobacze,
I żal ten wasz zmyślony.“

Wbrew pozorom ośmielamy się twierdzić, że ostatni wiersz nieco prawdy zawiera. W ogromnie wybujałym kulcie Wyspiańskiego widzimy jednak mimo wszystko — naturalnie obok wielu akcentów szczerych — niemało „zmyślenia“. Objawia się ono nie tyle pozytywnie: głosami krytyki, ile negatywnie: milczeniem, milczeniem nietylko tych, którzy w Wyspiańskim wogóle wielkiego poety nie uznawali, ale nawet tych, którzy mając go za takiego, wiele wad i niedomagań w nim widzieli. Co było przyczyną tego milczenia: czy niechęć mącenia powszechnego uwielbienia, czy obawa przed namiętnemi protestami — nie poety samego i nie z jego ramienia, tylko ze strony dobrowolnych jego obrońców, — czy wreszcie zamiłowanie wygody, rozstrzygnąć nie umiemy, nikt jednak nie zdoła zaprzeczyć, że jednak milczenie faktem było i... jest, że dalej dzięki temu w głosach o Wyspiańskim, dotychczas wyrażonych, nie wszystkie odcienia były reprezentowane. Istnieje wprawdzie kilka prac odmiennych od bardzo licznych bezkrytycznych panegiryków, lecz z rozmaitych względów nie są one zupełnie zadowalniającemi. Tak n. p. bardzo rozsądnie mówi p. Ostap Ortwin o niektórych dziełach w Krytyce — zwykle wywołując zastrzeżenia ze strony redakcyi czasopisma — lecz mówi tylko okolicznościowo i o kilku jedynie. Z dwóch obszerniejszych rozpraw, ogłoszonych w ostatnich czasach, każda ma swoje wybitne zalety, mimo to jednak pisać się na żadną

z nich w zupełności nie możemy. P. Józef Kotarbiński drukował w Bibliotece warszawskiej z r. 1906 i 1907 kilka rozdziałów większej pracy o St. Wyspiańskim, pisanych z wytrawnością i zrozumieniem rzeczy, spotęgowanem znajomością praktyki teatralnej, lecz cenne to zresztą studyum skażone jest świadomemi objawami lub instynktownemi odruchami goryczy, z Krakowa po sześciu latach kierowania tamtejszą sceną wywiezionej. Rozbioru twórczości Wyspiańskiego, dokonanego przez profesora Tarnowskiego, najprzód w Przeglądzie polskim, później w ostatnim tomie historyi literatury polskiej, mimo wielu świetności pióra, mimo licznych bardzo bystrych spostrzeżeń, nie można jednak uważać za spokojny przedmiotowy sąd: autor bowiem występuje tutaj *a priori* jako przeciwnik t. zw. modernizmu. Obie te prace zresztą aczkolwiek tak niedawne, całokształtu twórczości poety nie obejmują (p. Kotarbiński może tylko na razie).

Wobec tego stanu rzeczy podjąłem się napisania spokojnej, przedmiotowej charakterystyki Wyspiańskiego, zbadania jakości jego dzieła, określenia jego znaczenia na dzisiaj i — przypuszczalnego — na jutro, podjąłem się tego szczerze bez jakiegokolwiek uprzedzenia na korzyść lub niekorzyść omawianego przedmiotu. W tem, że chcę dać to, czego mojem zdaniem krytyka dotychczas nie dała, zarozumiałości nie ma, chyba tylko o tyle, że „zarozumiałym“ jest każdy krytyk w najdrobniejszej bodaj recenzyi, bo przecież na *sui generis* „zarozumiałości“ polega cała krytyka, tak jak „bezwstydnym“ jest każdy liryk, bo przecież wszem wobec rozpowiada o swoich bólach i radościach, które inny człowiek chowa w skrytości własnego serca lub zaledwie zaufanym przyjaciołom zwierza.

*
* *

Rok 1869 w dziejach ducha Polski porozbiorowej pozostanie na zawsze pamiętnym dzięki dwom doniosłym wydarzeniom: otwarciu grobu Kazimierza Wielkiego w katedrze na Wawelu i narodzinom Stanisława Wyspiańskiego. Związek pomiędzy niemi jest istotny i znaczący. Nie tylko dlatego, że poeta, który w tym roku przyszedł na świat, w rapsodzie o ostatnim z Piastów uwiecznił tamtą wstrząsającą chwilę. Związane są ponadto te dwa momenty mistycznem niemal spojeniem: innym byłby Wyspiański, rzec można, gdyby się nie był narodził pod auspicyami tej chwili,

w której sam nie uczestniczył, lecz z którą osobą swego mistrza, Matejki, jej świadka duchowo był złączonym.

Dziwnie osobliwą musiała być ta chwila, kiedy w zniszczonym grobie ujrzano rozsypane kości króla, z koroną władzcy i resztkami płaszcza monarszego. Zjawiła się mara przeszłości, dumnej i wielkiej, zjawiła się na tle czasu upokorzonego i małego. Przypomnijmy sobie, że w tymże samym roku 1869 w Przeglądzie polskim ukazała się Teka Stańczyka, ironiczny manifest i obrachunek nowego stronnictwa narodowo-politycznego, które postanowiło uprzątnąć gruzy przeszłości, obalone ostatnią niefortunną walką o wolność, a na oczyszczonym gruncie wznieść gmach przyszłości, tak odmiennej od przeszłości. Co się wtedy musiało dziać w sercach tych kilku ludzi, którzy byli świadkami otworzenia grobu Kazimierza W. — żyje z nich jedynie prof. Tarnowski — i tych tłumów, które szły później w pogrzebie wielkiego króla, tego my młodsi prawie odczuć nie potrafimy. Na szarość współczesnych dni, w których my dzisiaj, po przeszło czterdziestu latach widzimy zaranie odrodzenia, ale oni tylko straszną ruinę widzieć musieli, na prostracyę ducha i wymuszoną trzeźwość rozsądku padł promień, lecz nie jasny i pogodny, tylko ponury i błyskawiczny. Zmartwychwstała na chwilę przeszłość wspaniała, ale stanęła nie z pełną siłą życia, lecz w grozie pruchniejącego szkieletu: ci ludzie oddawali wtedy pokłon przeszłości, lecz równocześnie musieli widzieć, że ona w proch się rozpada, nadzieja walczyła w ich sercach z trupią martwotą i rezygnacyą, kult pamiątek — z przeświadczeniem, że trzeba po życie sięgać nowe, jeśli nie mamy się stać tylko grobowców strażnikami.

Dzieckiem tej chwili jest Stanisław Wyspiański. Odnajdziemy jej materyalne wspomnienie i w rapsodzie i w witrażu, poświęconym Kazimierzowi W.: tam poetyczne a wierne odtworzenie wypadku, tutaj groźny majestat szkieletu, który powtarza się i w witrażu św. Stanisława. Ale wznosząc się od samego zdarzenia w górę ku jego symbolicznemu znaczeniu, ma się prawo twierdzić, że pod jego znakiem kształtuje się zasadnicza linia ducha artysty. Więc najprzód wszędzie doszukamy się szczytnego i mistycznego pojęcia śmierci, jako tryumfującej nad życiem potęgi, a z drugiej strony ztąd także wywieść można cały stosunek Wyspiańskiego do przeszłości, do jej wszechwładnego kultu:

„To tak dawność z nami walczy,
My jesteśmy jak przeklęci,
Że nas mara — widmo nęci.“

Szczegółowe objawy tego poglądu, przeniesienie go z pola ściśle historycznego na grunt historyczno-literacki, poznamy później, jak również i wtedy dopiero z tego stanowiska odpowiemy na rozstrzygane zazwyczaj apryorystycznie a pospiesznie pytanie: czy przeszłości czy przyszłości poetą jest Wyspiański, — na teraz wystarczy genetyczny wywód tej idei.

Pośrednikiem pomiędzy Wyspiańskim a otwarciem grobu Kazimierza był Matejko. Był także jego pierwszym mistrzem w malarstwie. I nie tylko na artystę wywarł wpływ, lecz i na poetę i na Polaka, bo tak szeroko i głęboko oddziaływał na cały naród, bardziej więc jeszcze na umiłowanego ucznia. Że Wyspiański żył w świecie postaci Matejki, tego dowodem choćby W e s e l e z poczętemi z ducha mistrza figurami Stańczyka i Wernyhory. Że i w technice artystycznej mu ulegał, o tem świadczy bodaj ołówkowy rysunek, przedstawiający dwór Bolesława Śmiałego. Lecz temi łatwemi spostrzeżeniami nie wyczerpało się bynajmniej oddziaływania Matejki, długo poza lata, spędzone w krakowskiej Szkole sztuk pięknych. Widocznem jest ono i w tem, w czem Wyspiański jest podobny do Matejki, i w tem, w czem jest od niego różny, a różny z całą samowiedzą, może z umyślnem przeciwieństwem, tak jak wogóle twórca K a z a n i a S k a r g i zaważył ogromnie na sztuce polskiej i w tem, co było jego naśladowaniem i w tem, co z walki z nim powstało. Wziął po nim zmarły artysta-poeta wielki rozmach, gigantyczność zarysów, z niesłychaną śmiałością u mistrza rozsadzających ramy obrazów, u ucznia kształt poetycki i sceniczne formy. Przejął z niego dążność do namacalnego uzmysławiania idei w figurach, dziwnie, czasem dziwacznie cieleśny realizm łączących z bujną fantastycznością. Poszedł w tych obu kierunkach nawet jeszcze dalej, pchany tak żywą u wielu współczesnych artystów skłonnością do baroku, zjawiającą się zawsze, ilekroć sztuka usiłuje wyzwolić się od oschłej prozy a nie ma dość sił, by wznieść się do wyżyn, gdzie prostota króluje: u Matejki w D z i e w i c y O r l e a ń s k i e j troje świętych w obłokach, u Wyspiańskiego w B o l e s ł a w i e Ś m i a ł y m chodząca trumna — podobne objawy, idące w tym samym kierunku, tylko w znacznem od siebie oddaleniu.

Uczeń Matejki, dziecko Krakowa, z pod stóp Wawelu, wtedy tylką smutną ruiną przeszłości będącego i z wyżyn pagórku na martwe miasto spoglądającego, wyjechał po raz pierwszy w świat, na Zachód. W tem miejscu jedno zastrzeżenie jest konieczne. Badając rozwój ducha Wyspiańskiego, nie znamy jednego bardzo

ważnego czynnika: nie wiemy, co czytał, co studyował, co przemyślał. Podobno nie wiele czytał: Kto wie, czy nie ztąd wywodzi się istniejąca u niego niejednokrotnie niezdolność jasnego sformułowania myśli filozoficznej, skutek może niedostatecznego wykształcenia w tej dziedzinie wiedzy. W każdym razie nie wiedząc nic pewnego o tych naukowych i literackich wpływach, narażamy się może na pomyłkę, gdy oddziaływanie wszystkich w ogólności prądów zachodniej kultury łączymy — z technicznych poniekąd względów — z jego pobytem zagranicą, chociaż w rzeczywistości odnieść by je może trzeba częściowo bądź do wcześniejszego, bądź do późniejszego okresu.

Pierwszy wylot z gniazda musiał mu nie tylko otworzyć szersze horyzonty duchowe, a zetknięcie z żywą kulturą Zachodu nie tylko ukazało mu całą martwotę ciasnych polskich stosunków, lecz podróż ta przedewszystkiem wzbogaciła jego artystyczną wyobraźnię nowemi pojęciami i poglądami. Romańskie i gotyckie katedry niemieckie i francuskie nauczyły go znajomości dawniejszej sztuki, równocześnie zaś rozbudzone życie teraźniejszości wprowadziło do jego świadomości mnóstwo nieznanych przedtem pierwiastków. W malarstwie i rysownictwie uwielbiano wtedy Japonię, której naiwność tak ogromnie wyrafinowana, uczniowi Matejki, w inne zgoła poglądy wdrożonemu, stała się nowym, nieprzeczuwanym światem. Zdobnictwo i sztuka stosowana z zasobem tysiąca świeżych motywów, przemówiły również do jego artystycznego zmysłu, sprawiły, że sam tym działom sztuki później często się oddawał jako artysta, a jako autor tak troskliwie, prawie przesadnie dbał o typograficzną stronę swych książek, jako pierwszy a przynajmniej najkonsekwentniejszy u nas wyznawca tych zasad.

Jeszcze obfitszym był czysto literacki plon tej podróży, szczególnie pobytu w Paryżu. Wieczorami Wyspiański zapewne nieraz bywał w teatrze, prawdopodobnie najgorliwiej na przedstawieniach klasycznych dramatów. Oczywiście w pierwszym rzędzie szedł na przedstawienia francuskich klasyków, czy też pseudoklasyków. Wywarli oni na niego silny wpływ, od czasów Felińskiego i Osińskiego może w naszej literaturze i scenie nie spotykany. Prawda, dopiero w ostatnich latach tłumaczył, raczej przerabiał Cida Corneille'a, zamierzał nawet i rozpoczął przekład jeszcze bardziej pogardzanego Voltaire'a (Zaïre), ale prace te przypadają na smutny jego okres, kiedy nie tworząc nowych pomysłów, przetwarzał tylko dawniejsze, być może więc, że i tu-

taj zawiązki obu tłumaczeń dawniejszych sięgają czasów. Zresztą, jak długo i jak silnie działał wpływ francuskiego teatru, tego dowodem jego bardzo wyraźne ślady w jednem z pierwszych dzieł, w Warszawiance, słabsze wprawdzie, ale bądź co bądź widoczne w jednym z ostatnich fragmentów, w Zygmuncie Auguście. Dziwić się temu upodobaniu niepodobna. Wyspiański był naturą nawskroś patetyczną, tragicznie stylizowaną, instynktowo szukającą wspaniałego giestu, majestatycznej wymowy, choćby nieraz nadmiernie szumnych słów używającej, a w francuskiej poezyi dramatycznej siedmnastego i ośmnastego wieku to wszystko znalazł. Szacunek i pociąg dla Corneille'a i Voltaire'a objawia się u niego, jak u tylu innych, negatywnie chłodniejszym stosunkiem do Szekspira. Prawda, „przekłada“ później a raczej omawia Hamleta, ale obchodzi się z nim z tak wszechwładną swobodą, że mniej tutaj jeszcze zostawia oryginału niż przy Cydzie; podobnie nie przeczy poprzedniemu twierdzeniu Śmierć Ofelii, owoc rozmiłowania się nie w Szekspirze, ale w tragicznej sytuacyi; wreszcie i nieznana dotychczas, w krakowskiem archiwum teatralnem spoczywająca inscenizacya Juliusza Cezara Szekspira nic przeciwnego nie dowodzi, bo wszak ten dramat ze wszystkich szekspirowskich jest może najbardziej „francuskim“ (szczególnie Brutus i jego żona, zamordowanie Cezara). Nawiasowo dodajmy, że bez wpływu pozostała komedya francuska, komiczność wogóle tak, że u Wyspiańskiego nie ma nigdy ani odrobiny śmiechu, albowiem spotykana w kilku rymowanych listach do przyjaciół, okolicznościowa humorystyka jest artystycznie bezwartościową, w treści zaś przypomina stare, typowo krakowskie dowcipy.

Wbrew Lessingowi od francuskiego dramatu wstecz do klasycznego nie jest tak daleko. Wyspiański zastał już trzeci z kolei renesans antyku. Podczas gdy po raz pierwszy za dni humanizmu zmartwychwstał cały świat starożytny, a zwłaszcza jego sztuki plastyczne i filozofia: podczas gdy w epoce Winckelmanna zachwycano się ponownie rzekomą „szlachetną prostotą i cichą wielkością“ antyku, wiek dziewiętnasty wywołał ponowny renesans greckiej tragedyi, we Francyi i w Niemczech najsilniej występujący, nie obcy jednak i innym krajom, między niemi i Polsce. Czy słusznie niektórzy temu trzeciemu renesansowi dodają pogardliwy przymiotnik „histeryczny“, nie rościmy sobie prawa rozstrzygać. Pamiętamy jednak trafne określenie jednego z najbardziej wolnych od wszelkiego doktrynerstwa krytyka, Herdera,

który powiedział, że naśladować Homera, to nie znaczy pisać tak, jak on pisał, ale tak, jakby był pisał, gdyby był za naszych czasów, w naszej ojczyźnie, w naszych warunkach pisał. Z tego punktu widzenia ten trzeci renesans, choćbyśmy go nazwali histerycznym, ma literackie uprawnienie, bo ten przymiotnik właściwie nie do niego, ale do jego epoki odnieść należy. Jakkolwiek się rzecz ma, Wyspiański wchłonął w siebie jego idee: w antyku widział zapewne jeszcze wspanialszy giest, niż u Francuzów, a olśniewająca malowniczość i rozmaitość starożytnego świata mitologii, podań i fantazyi dla pożądliwej jego wyobraźni była znakomitą podnietą. Lecz działały tu i inne, głębsze przyczyny. Filozofia Wyspiańskiego w antyku znalazła źródło, z którego ustawicznie mogła moc czerpać. Pojęcie nieubłaganego Fatum, od ludzkich postępków niezależnego, ta zasadnicza podstawa klasycznej tragedyi, dziwnie i ostatecznie mimo tylu dociekań w niewytłumaczony podziemny sposób złączone z surową strukturą związku winy i kary — ono Wyspiańskiego łączyło ze starożytnymi. Objawili mu oni także i inną jeszcze myśl, w nim samym nurtującą: majestat śmierci, ofiarną i tryumfującą zarazem jej rolę. A wreszcie kompozycya greckiego dramatu, oparta na wzajemności mówionego dyalogu i śpiewanych chórów podjętą została przez Wyspiańskiego, bo odpowiadała jego technice, tak często doprowadzającej do starcia jednostki — potężnej dlatego, że jest jednostką, z tłumem, — potężnym dlatego, że jest tłumem. I styl klasycznej tragedyi był mu dogodnym: jej wstrzemięźliwość, nieraz stokroć wymowniejsza od francuskiej retoryczności, w rękach nowoczesnego poety jest nieraz bronią, osłaniającą słabe miejsca, bo dzisiejszy czytelnik, ile razy poetę widzi małomownym, zawsze przypuszcza, że to właśnie jest niemym wyrazem najgłębszej mądrości, najwyższej piękności. (U Wyspiańskiego nieraz, może bezwiednie, francuska retoryczność i grecka małomowność idą na przemian, wywołując zazwyczaj u czytelnika to samo nastrojowe wrażenie). Chóry zaś specyalnie pożądane były dla polskiego poety, bo mogły stać się naczyniem wszelkich rozmyślań filozoficznych, zwłaszcza niejasnych przewidywań, które bez nich z trudnością tylko dałyby się w rozmowie działających osób wypowiedzieć. Zmienne objawy „trzeciego renesansu“ oglądać będziemy przy rozpatrywaniu poszczególnych dzieł poetyckich. Tutaj wskazujemy tylko na rysunki do I l i a d y, bo w nich on występuje najwyraźniej i najczyściej, bez wszelkich narodowościowych i literacko-historycznych domieszek. Że nie jest to ów Homer,

który żył i pisał kilka tysięcy lat temu, to pewna: czy nie takiemi jednak szlakami szłaby jego wyobraźnia, gdyby był jak Wyspiański dzieckiem wieku chorego a do wielkości i mocy się rwącego, wieku, uważającego za typową ale i najsroższą tragedyę huragan własnych niezgłębionych myśli, nienasyconych pragnień? Jeśli „histerycznemi“ są te illustracye, to są doskonałem odźwierciedleniem „histerycznego“ renesansu i jako takie pozostaną dokumentem artysty i czasu.

Mówiąc o odrodzeniu i zmodernizowaniu greckiej starożytności weszliśmy już w krąg ówczesnych prądów literackich. Wydzielmy z nich najprzód te, którym wtedy wielu ulegało, a które na Wyspiańskiego wcale nie albo tylko słabo oddziaływały. Do nich należy przedewszystkiem filozofia Nietzschego, już z tego samego powodu, że poeta wogóle, jak wnosić wolno, ścisłym studyom filozoficznym nigdy się nie oddawał, co przynosiło mu czasem korzyść — jak w tym wypadku, — częściej szkodę. Od Nietzschego, gdyby go był nawet dobrze znał, odpychało go zresztą wiele: i żywy u niego a u niemieckiego filozofa nieistniejący duch narodowy i wyraźne przeciwieństwo do hasła amoralności, i stanowcza, w praktyce poetyckiej opozycya do tezy Nietzschego o „wiecznym powrocie“. Jeśli mimo to Wyspiański wydaje się niekiedy podobnym do Nietzschego, zwłaszcza w zbolałej dumie, to ma się tu do czynienia z wrodzonem podobieństwem ludzkich temperamentów i artystycznych geniuszów, nie z nabytym wpływem filozofii samotnika z Sils Maria. A tak samo nie dotknęły go płynące z północy prądy drobiazgowej analizy psychologicznej, ani wdzierające się do nas z Zachodu orgiastyczne uniesienia demonicznego erotyzmu. Pierwszym nie uległ, bo wykuwał zawsze posągi z wielkich brył granitowych, nie cyzelując ich; drugie nie miały do niego przystępu, bo był naturą bądź co bądź pierwotną, moralnie zdrową, a ztąd miłość u niego często działa żywiołowo, z życiodajną lub niszczącą potęgą, lecz nigdy ani się nie ociera o satanizm lub seksualne zwyrodnienie; ten moment jeszcze w dalszym ciągu podkreślimy, tutaj w związku z innemi go notując. Nie uchronił się natomiast Wyspiański przed mgławicą współczesnego symbolizmu, tak w malarstwie jak i w poezyi. Jak tam składa mu hołd w S k a r b a c h S e z a m u, lub w afiszu na przedstawienie W n ę t r z a Maeterlincka, tak tutaj nie napisawszy wprawdzie ani jednego utworu wyłącznie symbolicznego, we wszystkich, zwłaszcza w dawniejszych, w jego charakterystyce odszuka się ślady nastrojowości Maeterlincka, owych sławnych

niedomówień, mistycznych tajemnic, denerwujących przerw i innych środków i środeczków symbolistycznej apteczki.

Na uboczu, ale tem wyraźniej stoi wpływ Ryszarda Wagnera. Znać go w pierwszym ogłoszonym utworze poetyckim, w Legendzie, w samym wyborze tematu z narodowego mytu, znać go i później w mitycznych motywach innych dzieł, przedewszystkiem zaś w iście po wagnerowsku pojętem spojeniu mitycznego zewnętrznego kształtu z wewnętrzną ogólno-ludzką treścią. Osobnego studyum wymagałoby skrupulatne wykazanie zależności języka i wiersza Wyspiańskiego od języka i stylu Wagnera — szczególnie jego Pierścienia Nibelungu, zależności raczej szkodliwej niż zbawiennej, bo dzięki jej polski poeta narzucał polskiej mowie wiązanej obcą jej *Wucht* (polskiego określenia na to pojęcie nie ma) właściwą archaistycznemu i alliterowanemu niemieckiemu wierszowi Wagnera. Ale najsilniej wpłynął Wagner na Wyspiańskiego, zyskując w nim wyznawcę swego genialnego marzenia o wszechsztuce, zogniskowanej w teatrze. Malarz-poeta nie mógł tą ideą pogardzać, nie mógł nawet nie usiłować jej urzeczywistnić. Jego wyobraźnia, snująca wspaniałe obrazy, widziała niejednokrotnie, że ani pendzel sam ani pióro same ich w nieskażonej piękności i sile odtworzyć nie zdoła: ztąd myśl Wagnera, gdyby była nawet nie przekonała go, przyjętąby przez niego została jako nadzieja wybawienia z męki tworzenia. Wiernym jej więc pozostaje od początku do końca, z tą tylko zmianą, że zrazu, od Legendy do Bolesława Śmiałego obok poezyi punkt ciężkości leży w muzykalnych elementach, później przenosi się do czynników malarskich. W tem oddziaływaniu Wagnera na Wyspiańskiego tkwi tragiczna sprzeczność. Z jednej strony bowiem poeta pisze właściwie tylko scenaryusze dramatów, którym dopiero scena z grą aktorów, dekoracyami, maszyneryą, oświetleniem, muzyką itd. zdolną jest dać życie; z drugiej zaś strony nieznająca niemożliwości wyobraźnia poety, żąda od teatru tyle i tego, czego i ile dzisiejsza scena dać nie może, a kto wie, czy przyszła, idealna kiedykolwiek w całej pełni dać będzie mogła. Skutkiem tego nie tylko o przedstawieniu wielu jego dramatów na długo marzyć, ale tylko marzyć można, lecz w jednym szczegółowym wypadku, przy sposobności Legendy, okazało się, że autor chcąc koniecznie rzecz wystawić, musiał wdać się w kompromis z realnemi warunkami teatru, w danym razie bądź co bądź kosztem piękności i wyrazistości dramatu. Teatr uważał w teoryi za wszechwładnego pana, dla niego n. p. Dziady uscenizował niewątpliwie zadzi-

wiająco świetnie teatralnie, lecz dość swobodnie w kilku miejscach zmieniając kształt poetyckiego utworu, co bezwzględni Wyspiańskiego wielbiciele skarciliby niechybnie jako brak pietyzmu, gdyby miało dotknąć jego samego... Tutaj, gdzie rozważamy jedynie to, co istotnie zdziałał, nie ma miejsca na obszerniejsze omówienie niepomyślnych starań jego o objęcie kierownictwa krakowskiej sceny. Niechaj nam wolno będzie tylko mimochodem wyrazić przypuszczenie, że polska scena straciła na tem wiele, Wyspiański zyskał znacznie więcej: „Pegaz w jarzmie“, to widok zawsze przykry; w tym wypadku do wzruszającej tragedyi życiowej, z innego źródła pochodzącej, byłoby się przyłączyło mniej podniosłe codzienne udręczenie...

* * *

Wyspiański, gdy wrócił do Krakowa i wystąpił po raz pierwszy na polu literackiem, był więc sumą zanalizowanych danych z Krakowa wrażeń zachodnich (z zastrzeżeniem powyżej zrobionem) i oczywiście tej niewymiernej ale największej liczby, która była wrodzonym jego geniuszem. Teraz przybywa do tego już nie wiele. Najmniej w dziedzinie narodowych nowych myśli. Nie znaczy to, by nie były się one w tym czasie, koło r. 1895 i po nim, rozwijały; owszem ewolucya ich dokonywała się w kierunku od dawnego „stańczykostwa“ do nowego „wszechpolskiego“ *credo*. Ale on sam na te przemiany był mało wrażliwym, raz dlatego, że zbyt był duchowym samotnikiem, by iść z tłumem, (tłum szedł za nim), powtóre dlatego, że w narodowym poglądzie podlegał nie ewolucyi ale rozwojowi własnych idei, które wywiózł z Krakowa, a których symbolem w oczach naszych jest r. 1869 i otwarcie grobu Kazimierza Wielkiego. Jest on może jedynym z naszych, przez ogół czczonych poetów, który żyje obok nas, ale zdala od naszych bieżących spraw, choćby najważniejszych: nie ma nikogo innego, obok którego byłyby przeszły tak bez śladu w poezyi wszystkie koleje Polski w ostatnich latach, od rugów pruskich przez rewolucyę w Rossyi i Królestwie aż do nowych katastrof w Poznańskiem — przyczem zastrzegamy się, że nie myślimy tu bynajmniej o okolicznościowych poezyach, lecz o tych przejściach i przemianach narodowego uczucia, których doznał każdy z nas przez tę parę lat a których plastycznym wyrazem była współczesna poezya, czy Sienkiewicza czy Żeromskiego lub Orzeszkowej, Kaspro-

wicza tak dobrze, jak Tetmajera lub Rydla. Wyjątek można zrobić chyba dla pytania: czem lud wiejski jest, czem będzie dla Polski. To zagadnienie, rozważane teoretycznie i praktycznie przez polskie mózgi i polskie czyny, odźwierciedliło się i w Wyspiańskim, najsilniej w Weselu i w fragmencie Piasta. (O ludu robotniczym jest wprawdzie w Wyzwoleniu mowa, lecz tylko w końcowem objaśnieniu scenicznem).

Bliższym jest już stosunek Wyspiańskiego do współczesnych prądów i zapatrywań artystyczno-literackich. Zrazu jest zewnętrznie ściśle związanym z krakowskiem Życiem: tu występuje jako illustrator, tutaj drukuje Warszawiankę i Klątwę. Ale mimo to pomiędzy nim a „Młodą Polską“, zwłaszcza jej wówczas najwybitniejszym przedstawicielem, Stanisławem Przybyszewskim, wspólności duchowej dopatrzyć się nie można: oddziela go od niej i to, co zaporą było pomiędzy nim a Nietzschem, i hasło „sztuki dla sztuki“, sprzeczne z jego poetycką działalnością. Zewnętrzny stosunek trwał jakiś czas, a dodajmy: Wyspiańskiemu, ściślej mówiąc, nie jemu samemu, lecz naszemu z nim pożyciu, zaszkodził: część społeczeństwa polskiego, i to nie najgorsza, patrzyła na niego jako na zaciężnego hufcu Przybyszewskiego, a raz dawszy się pozorom uwieść, trwała uparcie przy fałszywem mniemaniu nawet wtedy, gdy pierzchły i te pozory. Bo w rzeczywistości drogi Przybyszewskiego i Wyspiańskiego wiodły i [illegible] społeczeństwo polskie w przeciwne strony, „konsulat obu mistrzów Stanisławów“ musiał się rychło skończyć, a wiadomo, czyjem jedynowładztwem się skończył; gwiazda Przybyszewskiego gasła w miarę, jak coraz silniej jaśniała gwiazda Wyspiańskiego. I to nawet, co powszechnie uważa się za najoczywistszą spójnię pomiędzy Wyspiańskim a „Młodą Polską“: kult Słowackiego, w naszych oczach nie jest nią. Śladów wpływu twórcy Króla Ducha jest może mniej, niż się zazwyczaj sądzi: rapsody powstały jako poetyckie domówienie witrażów, ze Słowackiego wzięły tylko formą stroficzną, bo sama wizya zmarłych królów gotową była w poczęciu już wtedy, gdy uczeń Matejki z ust mistrza słyszał opowiadanie o owej pamiętnej chwili r. 1869; tak samo u narodzin Legendy nie Słowackiego widzimy lecz Wagnera. Co więcej, pozwalamy sobie wypowiedzieć domysł, że Wyspiański wobec poety Słowackiego umyślnie w swych własnych dziełach nie zajmuje stanowiska, znaczenia jej dla Polski, dla narodowego ducha nie określa, ani nie rozważa: podczas gdy n. p. znamy dobrze z wielu utworów, szczególnie z Legionu, jego stanowisko wobec syntezy ducha Mickiewicza lub Krasiń-

skiego, odnośnie do Słowackiego te źródła zawodzą zupełnie, (bo wspomnienie Anhellego w Wyzwoleniu jest przelotnem). Że mimo to jest on właśnie najpodobniejszym do autora Dantyszka — z umysłu to dzieło wymieniamy — to pewna: podobnym mu temperamentem, ideą, rodzajem talentu poetyckiego, ale kto wie, czy właśnie z tego powodu, może nawet z rozmysłu, nie zbliża się do jego poezyi.

Zanalizowaliśmy dotychczas wszystkie wybitniejsze składniki, z całą świadomością tego, że w żywym organizmie poezyi Wyspiańskiego tak ściśle ich od siebie odróżnić niepodobna. Tak jest zresztą ze sztuką każdego artysty, tutaj jednak w daleko silniejszym stopniu niż gdzieindziej. Jeśli u Słowackiego co krok spotyka się „zapożyczania się" u obcych poetów tak, że jego dzieła często są przedziwną mozaiką, ręką mistrza z tysiąca zewsząd zebranych kamyczków złożoną, to poezyi Wyspiańskiego charakterystyczną cechą jest tłok wyobrażeń i pojęć, zaczerpniętych z rozmaitych źródeł kultury samowładnie przetworzonych i razem spojonych. Podziwiając w tem potęgę fantazyi, niepodobna jednak zamykać oczu na fakt, że działalność jej zbyt często wkracza w granice oszołomiającego chaosu. Pomieszanie różnorodnych wyobrażeń, łączenie kilku naraz symbolów, ucieleśnionych w danych postaciach lub zdarzeniach historycznych, mitologicznych, religijnych itd., nie może uchodzić za zaletę. Albo bowiem nic sobie przy tych chaotycznie nagromadzonych obrazach i pojęciach nie myślimy i nie przedstawiamy — a w takim razie są to tylko puste słowa i nazwy, albo każde z nich wywołuje w naszej duszy i w mózgu silny oddźwięk — a zawsze są to doniosłe wołania. — a wtedy jesteśmy pastwą szarpania nas na wszystkie strony, mątaniny beznadziejnej. Ta chaotyczność, wrodzona Wyspiańskiemu, rozwinęła się u niego nadmiernie w dalszych latach, zapewne po części skutkiem niszczącej go choroby. Jej szczytem zawrotnym jest Akropolis, gdzie „Skamander połyska, wiślaną świetląc się falą".

Dr. Józef Flach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

4. Prócz Towarzystwa naukowej pomocy i inne organizacye polskie w Paryżu zajmowały się w pierwszych latach emigracyi wspieraniem uczącej się młodzieży polskiej. Do takich należało Towarzystwo Dobroczynności Dam Polskich w Paryżu.

Założyła je według pomysłu Hipolita Błotnickiego dn. 12. marca 1834 r. księżna Anna z Sapiehów Czartoryska. Ustawę Towarzystwa napisała Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Głównym celem Towarzystwa było zapobieganie cierpieniom i nędzy Polaków na emigracyi, a w szczególności zamierzało Towarzystwo nieść pomoc chorym, opiekować się wdowami i sierotami emigrantów, wspierać starców, kaleki i tych, co rządowych zasiłków nie otrzymali, obmyślać będącym w niedostatku środki zarobku, dawać zapomogi na rozpoczęcie jakiego sposobu życia itd.

Towarzystwo składało się z prezydującej, z sekretarki, z członków t. j. dam polskich, które sobie miano „siostr" obrały, z dystrybutorów i lekarzy. Pierwszą prezydentką była księżna Anna Czartoryska: po jej śmierci objęła kierownictwo jej córka hr. Izabela Działyńska; obecnie stoi na czele tej instytucyi emigracyjnej,

jednej z niewielu, które ocalały do dziś dnia, Aleksandra z Wołowskich Leonowa Faucher.

Pierwszą sekretarką była Hoffmanowa. Na pierwszej liście sióstr zapisane były panie: księżna Ogińska, L. Platerowa, Rautenstrauchowa, Wołowska, Małachowska i Łuszczewska.

Dochód stanowiły: kwesty, koncerty, bazary i loterye doroczne oraz datki dobroczynne zamożniejszych emigrantów, rodaków z kraju i życzliwych cudzoziemców. W pierwszym roku było przychodu 18.000 fr. W latach następnych bywało od 20.000 do 30.000 fr. dochodu.

W łonie Towarzystwa ale niezależnie od niego skupiło się około przewodniczącej grono dam, które trudniły się zbieraniem funduszów dla wspomagania młodzieży polskiej, uczącej się w różnych zakładach naukowych w Paryżu. Samemu Towarzystwu naukowej pomocy dostarczyło Towarzystwo dam polskich w Paryżu 5.800 fr. w ciągu lat dwunastu.

Literatura i źródła. Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez ks. Czartoryskich w Paryżu w czasie emigracyi, Paryż 1862. — Kronika emigr. polskiej, 1836. — Rocznik Tow. hist.-lit. za rok 1866 i dalsze.

5. Młodzieżą w szkołach specyalnych zajmowało się Towarzystwo politechniczne polskie w Paryżu, założone przez generała Bema w r. 1835. Opieka nad uczącą się młodzieżą była tylko jednem małem polem jego działania. Cele jego określiła ustawa z r. 1835. Między innemi miało Towarzystwo „przyczyniać się, ile możności, do rozwijania wszelkiego rodzaju talentów w Polakach; ułatwiać rodakom, oddającym się sztukom, kunsztom i rzemiosłom wstęp do zakładów im właściwych, oraz wynajdywać miejsca tym, którzy chcieli zarabiać udzielaniem lekcyi.

Lista członków z r. 1835 wykazywała 40 fundatorów czynnych i 18 honorowych. Między założycielami błyszczy imię Fryderyka Chopina.

Na czele tego Towarzystwa stał jego główny założyciel, generał Bem. Prócz niego do zarządu należał w r. 1836/7 jako wiceprezes kasztelan hr. Olizar i pięciu radców.

W pierwszym roku wyjednało Towarzystwo u rządu francuskiego pomoc naukową dla 60 uczniów w rozmaitych szkołach specyalnych. Pomoc ta wynosiła dla poszczególnego ucznia 75 fr.

kwartalnie prócz zwyczajnych subsydyów oficerskich po 45 fr. miesięcznie.

Byt Towarzystwa został podkopany w samym zarodku przez brak funduszów. Pierwszy rok administracyjny wykazał niedobór 4.243 fr. Towarzystwo musiało się rozwiązać.

Literatura i źródła. Kalendarz na rok 1838, Paryż 1838. — Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie: Materyały rękopiśmienne. — Ustawa Tow. polit. pol., zawiązanego w Paryżu dnia 15. marca 1835 (litografowana).

6. Poza Francyą tylko w Anglii organizowano w pierwszym okresie emigracyi polskiej towarzystwa, mające na celu wychowanie młodzieży polskiej a względnie udzielanie jej materyalnej pomocy.

Bardzo ożywioną i wydatną działalność w tym kierunku rozwinęło Towarzystwo Pań w Edynburgu w Szkocyi. W ciągu lat dwunastu od 1832 do 1844 dostarczyły panie edynburskie 11.336 fr. samemu Towarzystwu Naukowej Pomocy w Paryżu, za co im wyrażano w dorocznych sprawozdaniach serdeczną wdzięczność.

Literatura i źródła. Materyały rękopismienne w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. — Zob. nadto wykaz literatury pod I. 3.

7. W Londynie dzięki zabiegom ks. Adama Czartoryskiego zawiązało się w. r. 1832 Towarzystwo literackie przyjaciół Polski (Literary association of the friends of Poland), które dotąd wegetuje.

Głównym jego celem było poznanie przeszłości Polaków. Obok tego popierało Towarzystwo emigrantów polskich materyalnie i moralnie niezależnie od pomocy rządowej, którą im przyznał parlament angielski, a którą Towarzystwo szafowało. Założycielem i pierwszym prezesem tego Towarzystwa był lord Dudley Coutts Stuart.

Sekretarzami polskimi w Towarzystwie byli kolejno: dr. Krystyn Lach Szyrma, niegdyś profesor filozofii w uniwersytecie warszawskim, a później pułkownik w gwardyi dyktatora Chłopickiego, major Szulczewski, Naganowski, Jardowski i obecnie ks. Lach-Szyrma, syn pułkownika.

Według brzmienia statutu niosło Towarzystwo pomoc materyalną głównie wychodźcom polskim wiekowym, ale także i ich dzieciom (affording education to their childern). Umieszczało je w szkołach angielskich, dając im przy tem odpowiednie zapomogi.

W r. 1853 Towarzystwo to miało dochodu 876 f. sterling.[1]) Z tego wydało na stałe zapomogi dla dziesięciu osób, między niemi ośmioro dzieci, 57 f. st., a na wychowanie 1 chłopca 20 funt. st.

W odezwie z r. 1886, podpisanej przez honorowego sekretarza Williama Lloyd Birkbeck'a i sekretarza polskiego, Edmunda S. Naganowskiego, odniosło się Towarzystwo z prośbą o wsparcie potrzebne „dla ogromnej i codzień się zwiększającej liczby biednych Polaków, wystawionych na najokropniejszą nędzę w ulicach Londynu i kilku innych miast w Anglii".

Żyło jeszcze wtedy 16 weteranów z r. 1831, do nich przybyli biedni Polacy po r. 1848, po wojnach węgierskiej i krymskiej, po roku 1863/4 i po ostatniej wojnie rossyjsko-tureckiej. Do nich przyłączyły się nieszczęśliwe ofiary germanizacyjnej polityki rządu pruskiego. Między ostatnimi było sporo wyrostków w 16—20 latach, którzy jeszcze nie pokończyli edukacyi. I ci byli przedmiotem opieki Towarzystwa.

Literatura i źródła. Krótki rys wypadków, zaszłych w Ogóle emigracyi polskiej w Londynie, Londyn 1834. — Materyały rękopiśmienne w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. — Odezwa Tow. Przyj. Polski, Paryż 1886. — Sprawa młodej emigracyi polskiej po r. 1848 w latach od 1850—1851 do Anglii przybyłej, Londyn 1852. — Ustawy Tow. polskiego w Londynie, Londyn 1886. — Wiadomości listowne, udzielone mi przez panią Zofię Pace'ową i przez Wielebnego księdza Lacha-Szyrmę w Londynie, którym tu składam gorące podziękowanie.

8. Do roku 1852 nie było jednak w Anglii żadnego polskiego zakładu naukowego, chociaż zakład taki był tam bardzo potrzebny. W Anglii było wielu ubogich wychodźców polskich, pracujących ciężko na kawałek chleba, których dzieci nie miały żadnej opieki i pomocy. Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski zajmowało się dziatwą tylko ubocznie i udzielało pomocy tylko dzieciom, zrodzonym z ojca i matki Polaków. Tymczasem stwier-

[1]) Funt sterling = około 25 koron austryackich.

dzono. że liczba dzieci polskich, zrodzonych z Angielek wynosiła w samym Londynie 97, a w Portsmouth 26. Tą dziatwą zajęło się grono Polaków zamożniejszych i założyło z początkiem roku 1852 dwie szkółki: jednę na West-End, a drugą na City, w punktach, gdzie najwięcej Polaków mieszkało. Nauka była bezpłatna, a dzieci uczyły się czytać, pisać, początków arytmetyki i geografii. Po kilku miesiącach pokazało się, że rezultaty były pomyślne. W szkółkach było 30 uczniów i uczennic.

Po tych pomyślnych początkach zawiązało się dnia 11. kwietnia 1852 r. Towarzystwo Naukowej Pomocy dla dzieci emigrantów polskich w Anglii.

Na czele Towarzystwa stanęła Rada, złożona z prezydującej Maryi Falkenhagen-Zaleskiej i wiceprezydującej K. Giełgudowej i siedmiu członków; miedzy nimi był major J. Giełgud i Piotr Falkenhagen-Zaleski jako kasyer.

Według ustawy, wydanej z chwilą założenia, celem Towarzystwa była edukacya dzieci emigrantów polskich, tych mianowicie, którzy się sami nie mogli tem zająć.

Towarzystwo prócz szkoły polskiej w Londynie, urządziło później podobne zakłady w Portsmouth i w innych miejscowościach Anglii.

Do programu szkółek polskich zamierzano wprowadzić: zasady religii i moralności, język polski, angielski, francuski i niemiecki, kaligrafię, arytmetykę i geografię, historyę polską i angielską, oraz rysunki i śpiew. Oprócz tego dziewczęta miały się uczyć szycia i innych robót kobiecych.

Nowe Towarzystwo odniosło się od razu do ofiarności publicznej. Do Towarzystwa mogli należeć Polacy i cudzoziemcy. Wkładka wynosiła 1 funt st. na rok. Towarzystwo przyjmowało prócz tego ofiary w gotówce, odzieży itd.

O założeniu internatu własnego w Anglii nie mogło marzyć z powodu braku funduszów.

Walczyło też Towarzystwo z brakiem odpowiednich polskich nauczycieli.

W r. szkolnym 1852/3 korzystało z pomoey Towarzystwa razem 70 dzieci, z tych w Londynie 45, a w Portsmouth 14, reszta po kilkoro w innych miejscowościach.

Zdolniejsze dzieci, zarówno chłopców jak dziewczęta, wysyłało Towarzystwo do Paryża, bądź to do szkoły batyniolskiej,

bądź też do Hotelu Lambert, bądź do innych zakładów naukowych.

W r. 1857 było na koszcie Towarzystwa ośmnaścioro dzieci, a mianowicie siedmiu uczniów w szkole batyniolskiej i dwie panienki u jakichś zakonnic w Paryżu, a w Anglii w szkołach dziewięcioro dzieci.

Towarzystwo doznawało wydatnego poparcia ze strony pp. Maryi i Piotra Falbenhagen-Zaleskich, którzy się jednak z niego usunęli w r. 1857. Towarzystwo miało uledz reorganizacyi.

Towarzystwo rozporządzało funduszem anonyma, który przynosił rocznie 2.850 fr. Wystarczało to na utrzymanie 7 uczniów z emigracyi angielskiej w Szkole batyniolskiej w Paryżu. Fundusz ten przeszedł w r. 1857 na rzecz tejże szkoły z zastrzeżeniem, aby go głównie obracano na cele edukacyi dzieci emigrantów polskich w Anglii.

Literatura i źródła. Association for promoting the instruction of young polish exiles, 1852. — Listowne informacye z Anglii. — Raport Rady Tow. Nauk Pomocy w Anglii, Londyn 1858. — Towarzystwo Nauk. Pomocy dla dzieci emigr. polskich w Anglii, Londyn 1852. — Ustawa Tow. Nauk. Pom. dla dzieci emigr. pol. w Anglii, Londyn 1852. — Zdanie sprawy Rady Tow. Nauk. Pom. dla dzieci pol. w Angli (1853).

9. Bodaj krótka wzmianka należy się projektom portugalskim.

Generał Bem zawarł w imieniu legii polskiej w Portugalii z Don Pedrem, księciem Bragancyi, rejentem w zastępstwie królowej Maryi II. portugalskiej konwencyę, mocą której Polacy mieli wstęp do armii portugalskiej jako samoistna legia królowej Maryi a w zamian za to mieli wejść w posiadanie wszelkich praw obywatelskich, jakich tylko cudzoziemcy naturalizowani używać mogą.

Między innymi 24 młodych Polaków miało być przypuszczonych do szkoły marynarki a po skończonych naukach wszyscy mieli być przyjęci do służby morskiej na tych samych warunkach, co rodowici Portugalczycy.

Legia miała od razu wziąć udział w wojnie, prowadzonej wtedy przez Don Pedra. Emigracya paryska, a w szczególności Towarzystwo litewskie i ziem ruskich podniosło głośny protest. Sprawa pozostała w dziedzinie projektów.

Literatura i źródła. Polacy w Oporto, Paryż 1833.

II.

Szkoła polska batyniolska w Paryżu.

Treść: 1. (1842—1844). Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich. — Program szkoły. — Rada szkoły. — Dyrektor W. Kraiński. — Hojny dar J. Ledóchowskiego. — Szkoła polska w pensyonacie Chapusot'a w Châtillon sous Bagneux 1842. — Szkoła polska w Paryżu przy ul. Fossés St. Jacques 1844. — Dyrektor Ksawery Bronikowski. — Organizacya szkoły. — Profesorowie. — Statut Towarzystwa. — Organizacya Rady. — Skład Rady. — Instrukcya dla dyrektora. — Przepisy dla rodziców.

2. (1844—1848). Szkoła polska na Batignolles. — Mała burza. — Nowa organizacya szkoły 1845. — Cała nauka tylko w samym zakładzie. — Program naukowy. — Dyrektor ks. Dąbrowski. — Subwencya rządowa. — Stanisław Malinowski mistrzem studyów. — Malinowski dyrektorem prowizorycznym. — Ustępuje. — Nowa burza. — Niesłuszne zarzuty. — Rozwój szkoły. — Nowe subsydya rządu francuskiego dla nowych 50 uczniów. — Rozszerzenie gmachu szkolnego. — Główni promotorowie szkoły. — Rozrost szkoły w cyfrach. — Dyrektorem Hipolit Klimaszewski. — Rok 1848.

3. (1848—1870). Rada odnowiona. — Miskiewicz w Radzie. — Dr. Seweryn Gałęzowski. — Szkoła w własnej realności. — Dalsze powiększenie gmachu szkolnego. — Bohdan Zaleski. — Julian Klaczko. — Inni członkowie Rady z przed roku 1870. — Członkowie honorowi Rady. — Ofiary na rzecz szkoły. — Subwencya rządowa. — Protektorem szkoły książę Napoleon Bonaparte. — Szkoła uznana za zakład użyteczności publicznej. — Nowy statut szkoły. — Zakres działania Rady. — Majątek i dochody szkoły. — Organizacya szkoły. — Dyrektor. — Inspektor i egzaminatorowie. — Dozór ze strony rządu. — Statystyka uczniów. — Budżet wydatków. — Dymisya dyrektora Klimaszewskiego. — Dyrektor Malinowski. — Personal nauczycielski. — Reforma szkoły w r. 1852. — Reformy liceów francuskich z r. 1852. — Organizacya szkoły po reformie. — Nauczanie przedmiotów polskich. — Wychowanie narodowe. — Reforma nauki języka polskiego. — Rok 1861. — Nagrody za dobre postępy w języku polskim. — Biblioteka szkolna.

4. (1870—1908). Rok 1870. — Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej w Paryżu. — List jego do Rady w sprawie utrzymania szkoły. — Rada po r. 1870. — Sprawozdanie Rady za czas od 1.

paźdz. 1869 do 30. września 1872 r. — Wybitni dobrodzieje szkoły. — Statystyka byłych uczniów szkoły. — Sprzedaż dawnej realności. — Szkoła w nowym własnym budynku na Batignolles. — Część biblioteki złożono w Kurniku. — Dzisiejszy materyalny stan szkoły. — Rada szkolna. — Dr. Ksawery Gałęzowski. — Skład Rady dzisiejszy. — Zasługi dyrektora Malinowskiego. — Dyrektorowie: Stępiński, Saniewski, Różycki, Budzyński. — Frekwencya zakładu. — Wychowanie narodowe i społeczne. — Zmiany w organizacyi szkoły z roku 1890/1. — Zakończenie. — Literatura i źródła.

1. Przewidywany upadek Towarzystwa Pomocy Naukowej i dokonane już cofnięcie zasiłków założonym przez nie szkołom, skłoniło emigracyę francuską, zamieszkałą zwłaszcza w Paryżu, do podjęcia nowej akcyi szkolnej.

Myśl zakiełkowała w ciasnem kółku. Głównymi jej promotorami byli były poseł na sejm Henryk Nakwaski i były inspektor szkół Królestwa polskiego, Wincenty Kraiński. Po dłuższych naradach zawiązało się dnia 16. maja 1841 roku „Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich“.[1] Akt założenia podpisali: Generał Józef Dwernicki; poseł i były minister skarbu Królestwa polskiego Alojzy Biernacki; poseł Wincenty Tyszkiewicz; poseł Wincenty Chełmicki; poseł Henryk Nakwaski; marszałek Leon Stempowski; Wincenty Kraiński; Antoni Górecki; Stefan Niezabitowski i Antoni Michalski.

Pierwszem zadaniem Towarzystwa było zebranie funduszów. Dnia 22. maja 1841 roku wystąpiło Towarzystwo z „uwiadomieniem“ czyli odezwą, w której uzasadniało potrzebę założenia szkoły polskiej na emigracyi.

Jedne dzieci wychodźców polskich przybyły do Francyi, nie znając ojczystej ziemi, inne zrodziły się na ziemi francuskiej po wielkiej części z matek cudzoziemek. Jedne i drugie, wychowywane wśród cudzoziemców bez opieki narodowej, wynarodowiłyby się i przepadłyby dla macierzy. Młodzież polska może się w szkołach obcych wszystkiego nauczyć, ale nie nauczy się miłości ojczyzny Polski, nie wyrośnie na Polaków, żyjących sercem

[1]) Pierwotnie instytucya miała mieć inną nazwę: „Stowarzyszenie ojców rodzin polskich w wychodźtwie“.

i duszą tylko życiem Polski, kochających ją tem więcej, im jest nieszczęśliwszą.

Na to potrzeba wychowania narodowego: „potrzeba w każdem uczuciu dotykać Polski, w każdej myśli ją pojmować, w każdym wyrazie pić miłość do niej; potrzeba żyć wśród swoich, mówić językiem rodzinnym, uczyć się na przeszłości swojego kraju, kształcić się jedynie dla jego przyszłości, stosownie do jego potrzeb".

Towarzystwo wychowania narodowego powstało właśnie z zamiarem dostarczenia dzieciom wychodźców polskich narodowej części wychowania, chciało ułatwić im to wychowanie, założyć w Paryżu szkołę, która miała nosić nazwisko: Szkoła narodowa wychodźtwa polskiego, a której jedynym celem miało być: wychowywać dzieci w duchu najczyściej narodowym, na Polaków, jakich Polsce potrzeba.

Oprócz tych nader ważnych pobudek, Towarzystwo miało jeszcze inne, o których mówi w pierwszem sprawozdaniu ogólnem, z dnia 8. lutego 1844 roku. Obraz wychowania publicznego w samej Polsce był wtedy bardzo smutny. Na całym obszarze Polski nie było wtedy „szkoły prawdziwie narodowej, nauki szczerej, wychowania prawdziwie człowieczego"; nieprzyjaciele tępili i niszczyli nasz język w szkołach, krzywili na swoje kształty serca i pojęcia młodzieży, obchodzili się z nią po barbarzyńsku; otóż w tej dla narodu krytycznej epoce Towarzystwo chciało stworzyć szkołę narodową, szkołę rządzącą się zupełnie innemi zasadami, niż te, któremi się kierują zakłady naukowe pod zarządem naszych wrogów.

Aby to szczytne zadanie przeprowadzić, odwołało się Towarzystwo o pomoc materyalną do ziomków na emigracyi i w kraju.

Jednocześnie z uwiadomieniem czyli odezwą rozesłano bardzo szczegółowy „Program szkoły" wydany po polsku i po francusku.

Opiekę nad zakładem — czytamy w programie — poruczono osobnej władzy, złożonej z członków Towarzystwa, podzielonej na dwie Rady: na Radę wychowania czyli władzę zarządzającą i na Radę opiekuńczą czyli dozorującą.

Dzieci, umieszczone w Szkole, miały w niej mieć prócz nauki także mieszkanie, ubiór, zgoła całe opatrzenie i wygody.

Roczne utrzymanie ucznia w zakładzie czyli bursę obliczono na 600 fr. prócz jednorazowej opłaty przy wstępie, wynoszącej 200 fr. Liczono utrzymanie tanio, aby ułatwić jak największej

liczbie uczniów przystęp do szkoły; spodziewano się zresztą, że oszczędności późniejsze pokryją początkowe niedobory.

Uczniowie, raz przyjęci do instytutu, pozostawali w nim, jeżeli nie zasłużyli na wydalenie, aż do zupełnego ukończenia nauk; po ukończeniu studyów w instytucie, Towarzystwo zamierzało starać się o umieszczenie celujących uczniów w wyższych szkołach wojskowych, handlowych, rękodzielniczych itp.

Zakład przyjmował dzieci od 6 do 14 lat włącznie; starsi wiekiem mogli uczęszczać jako przychodni czyli eksterniści.

Uczniów podzielono według Programu na pięć kategoryi; na takich, którzy płacili: całą bursę, $^3/_4$, $^1/_2$, $^1/_4$ bursy i którzy nic nie płacili.

Uczniowie przychodni mieli opłacać 4 fr. miesięcznie za uczęszczanie na lekcye; ubogich uwalniano.

Towarzystwo liczyło głównie na poparcie ogółu polskiego, a przedewszystkiem bogatych, i zamierzało otworzyć szkołę, gdy zbierze 32.000 fr. najmniej na lat trzy zapewnionych czyli stałych dochodów, i pomieścić w niej 40 wychowańców, utrzymywanych kosztem Towarzystwa.

Rodzice, których synowie umieszczeni byli w szkole bezpłatnie, musieli Towarzystwu odstąpić subsydya, jakie na nich od rządu pobierali.

Po urządzeniu szkoły męskiej zamierzało Towarzystwo w razie możności założyć podobny zakład narodowy dla córek wychodźców polskich.

Program zapowiadał, że wszystkie nauki wykładane będą, ile możności, przez Polaków i w języku narodowym z wyjątkiem języków obcych: francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Nauczycielom obiecano po franku od godziny.

Wybór nauczycieli należał do połączonych rad Towarzystwa.

W program nauk szkoły wstawiono pierwotnie aż 26 a względnie 27 rozmaitych przedmiotów a właściwie pozycyi, bo niektóre pozycye zawierają po dwa a nawet po trzy przedmioty.

Między innemi miały wejść do programu nauk: rysunki, geologia, chemia z manipulacyą, fizyologia z hygieną, technologia, buchalterya, ekonomia polityczna, retoryka i poetyka, architektura, nauki wojskowe z ćwiczeniami, fechtowanie, pływanie i muzyka głosowa. Język grecki i łaciński pozostawiono do wyboru.

W skład pierwszej Rady zarządzającej, wchodził jako prezes Józef Dwernicki, generał dywizyi, a jako członkowie: były wizy-

tator szkół Królestwa polskiego Wincenty Kraiński, major Antoni Gorecki, były profesor krakowski Ludwik Królikowski, poseł bracławski Mirosław Henryk Nakwaski, marszałek uszycki Leon Stempowski i generał brygady Franciszek Sznajde.

Do Rady dozorującej należał jako prezes dawny minister skarbu Kr. pol. Alojzy Biernacki, a jako członkowie: poseł prasznicki Wincenty Chełmicki, były deputat sądu głównego wołyńskiego dr. Cyryl Grodecki, poeta Seweryn Goszczyński, Andrzej Słowaczyński i Wincenty hr. Tyszkiewicz.

Zjednoczone Rady wyjednały od razu zezwolenie ministra oświecenia na otwarcie szkoły, a Uniwersytet Francyi zamianował pierwszym dyrektorem mającej się założyć szkoły, członka Rady d-ra praw, byłego generalnego wizytatora szkół Król. pol. Wincentego Kraińskiego.

Tymczasem na ogół biorąc, emigracya przyjęła i odezwę i program szkoły dość obojętnie, a nawet po części nieprzychylnie. Składki, zebrane poza członkami, przyniosły z początku zaledwie sto franków. Ale przedsięwzięciu sprzyjał los.

Poseł Jan Ledóchowski odziedziczył w tym czasie kilkamilionowy majątek i ofiarował z tego spadku na rzecz szkoły 50.000 złp., umożliwiając w ten sposób otwarcie projektowanej instytucyi, której i ze względu na jej doniosłe znaczenie i ze względu na jej typowy rozwój poświęcimy wyjątkowo więcej miejsca, aniżeli innym zakładom na wychodźtwie.

Ofiarodawca Ledóchowski był osobistością z wielu względów ciekawą. Z urodzenia arystokrata, był w życiu politycznem gorącym demokratą. Jako poseł na sejm z r. 1830/1 gorąco przemawiał za detronizacyą cara Mikołaja I., jako króla polskiego. Wymową porywał słuchaczy. Był szczodrym aż do rozrzutności, był pełnym typem lekkomyślnego szlachcica polskiego. Umarł w Paryżu w stanie graniczącym z nędzą, strwoniwszy miliony. Jemu przedewszystkiem zawdzięczało Towarzystwo, że mogło cel swój urzeczywistnić prędzej, aniżeli się spodziewało. Ledóchowski wspierał szkołę wydatnie aż do roku 1850. W uznaniu jego zasług zamianowano go pierwszym protektorem szkoły narodowej polskiej w Paryżu, do której organizacyi przystąpiono od razu.

Towarzystwo mimo tego wydatnego zasiłku nie mogło otworzyć szkoły w tych rozmiarach i z tym programem, które pierwotnie były zaprojektowane.

Ale dar Jana Ledóchowskiego pozwolił zrobić początek. Dnia 1. października 1842 roku umieściło Towarzystwo najprzód 18,

a potem 27 chłopców wychodźców polskich w jednym z najlepszych instytutów francuskich, zostającym pod kierunkiem Chapusot'a, w Châtillon sous-Bagneux o pół mili od Paryża.

Młodzież nasza stanowiła w tym instytucie oddział polski, przebrany po polsku,[1]) zostawała pod dozorem bezpośrednim nauczyciela Polaka, a oprócz nauk, spólnych całemu zakładowi, uczyła się czytać i pisać po polsku, gramatyki polskiej, historyi i geografii polskiej. Ksiądz Polak wykładał jej naukę religii w języku ojczystym, a lekarze polscy czuwali nad jej zdrowiem.

Zakład Chapusota pod wielu względami odpowiadał potrzebom naszej młodzieży, miał jednak tę niedogodność, że był cokolwiek za daleko oddalony od Paryża i że wychowanie polskie dzieci nie mogło być należycie przeprowadzone z powodu ogromnej przewagi uczniów Francuzów.

Te niedogodności trzeba było usunąć, trzeba było stworzyć instytucyę wyłącznie narodową polską. Towarzystwo przeniosło zakład polski do Paryża, pomieściło go w oddzielnym budynku i wzięło go pod swoją wyłączną ciągłą opiekę, wyjednało dla niego jako dla pensyi wyłącznie polskiej upoważnienie rządu francuskiego i urządziło tak, iżby celowi swemu, którym było wychowanie polskie, najskuteczniej odpowiadał.

Przeprowadzono szkołę do Paryża dn. 1. stycznia 1844 r. i pomieszczono ją w wynajętym dla niej budynku przy ulicy Fossés St. Jacques. Szkoła liczyła wtedy 30 uczniów internistów i 5 eksternistów. Dyrekcyę powierzono Ksaweremu Bronikowskiemu, byłemu wiceprezydentowi miasta Warszawy w czasie rewolucyi listopadowej.

Stosownie do potrzeby przygotowania i wieku uczniów, podzielono szkołę na dwa oddziały: na wyższy i niższy.

Oddział wyższy, liczący 14 uczniów, pobierał naukę w Collège Henri IV. w trzech klasach stosownie do przygotowania.

Oddział niższy, w którym było uczniów 21, uczył się na miejscu w szkole polskiej i był przedmiotem szczególnych starań pod względem polskiego ukształcenia. Nauki przedmiotów polskich udzielali prócz dyrektora dwaj miejscowi stali dozorcy młodzieży Leon Biliński i Antoni Domański, a oprócz tego Ludwik Mierosławski. Profesor Pfeifer powtarzał i objaśniał w języku polskim

[1]) W Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie jest piękna litografia, przedstawiająca tęż młodzież na przechadzce.

nauki wykładane w Collège a znany w świecie naukowym towarzysz Pestalozzego Szmid wykładał nauki matematyczne. W ogrodzie szkoły odbywali uczniowie ćwiczenia gimnastyczne. Stefan Grotkowski dawał uczniom bezpłatne lekcye muzyki wokalnej, a ks. Borkowski uczył religii.

Z systemu wychowawczego szkoły wyłączono wszelkie kary poniżające, a zakład mógł się słusznie chełpić, że był pod owe czasy jedyną szkołą, w której z młodzieżą polską obchodzono się jak z ludźmi bez żadnego nadwerężenia karności, owszem z korzyścią dla niej.

Do wewnętrznego zarządu gospodarczego szkoły i macierzyńskiej pieczy Towarzystwo wybrało Erazma Kwaskowskiego, byłego kapitana wojsk polskich i jego małżonkę.

Przy założeniu szkoły polskiej w Paryżu Towarzystwo wychowania narodowego wypracowało dla siebie statut, określający jego wewnętrzną organizacyę.

Z tego statutu wyjmuję niektóre szczegóły. Towarzystwo wychowania narodowego składało się z 15 członków czynnych z nieograniczonej liczby członków honorowych.

Członkowie czynni odtąd stanowili Radę Towarzystwa i mieli w niej równy, stanowczy głos, a mogli nimi być tylko emigranci zamieszkali w Francyi z wyłączeniem profesorów i urzędników szkoły narodowej. Rada wybierała z pośród siebie prezesa, wiceprezesa, kasyera. Na sekretarza powoływano kogoś z członków honorowych.

W myśl tego statutu wybrano prezesem Rady jenerała Dwernickiego, bohatera z pod Stoczka. Zastępcą prezesa został były minister skarbu Królestwa polskiego Alojzy Biernacki, który miał sobie zdobyć w dziejach pierwszego okresu szkoły niespożyte zasługi jako jej gorliwy opiekun, główny organizator i reformator a zarazem i profesor.

Obowiązki kasyera Rady objął generał Franciszek Sznajde.

Sekretarzem Rady zamianowany został Henryk Jaroszewski.

W skład Rady wszedł między innymi i Jan Ledóchowski.

Po ukonstytuowaniu się Rada wychowania narodowego wydała szczegółową „I n s t r u k c y ę d l a d y r e k t o r a s z k o ł y n a r o d o w e j“. Ważny to dokument pedagogiczny. Omówię go obszerniej razem z inna literaturą pedagogiczną emigracyjną. Tu wyjmuję z niego jedynie to, co potrzebne do zrozumienia organizacyi szkoły.

Instrukcya nie krępowała swobody dyrektora, pozostawiając mu wolną rękę w tem wszystkiem, co się tyczyło urządzenia wewnętrznego szkoły, zaprowadzenia w niej porządku, karności i harmonii, rozkładu nauk, klasyfikacyi uczniów, podziału zatrudnień i ćwiczeń, jednolitego toku instrukcyi i stosowania najwłaściwszych metod uczenia.

Za czynności swe dyrektor był odpowiedzialny przed Radą.

„Przepisy dla rodziców, wydane jednocześnie z Instrukcyą dla dyrektora, zapowiadały, że dzieci, pozbawione opieki rodzicielskiej, mogą przedewszystkiem ubiegać się o przyjęcie do szkoły. Osoby, płacące bursę całkowitą, wynoszącą odtąd dla dzieci wychodźców 700 fr. a dla dzieci niewychodźców 800 fr., miały prawo przedstawiania własnych kandydatów. Eksterniści mogli uczęszczać do szkoły bezpłatnie z pewnemi zastrzeżeniami. To pierwszy okres dziejów szkoły batyniolskiej (1842—1844).

2. Nowe zmiany niekoniecznie były dobre. Okazało się, że uczniowie polscy, posyłani do liceum Henryka IV., nie korzystali należycie z nauki z powodu niedostatecznego przygotowania, a w samej szkole chwytano się nieproduktywnych metod naukowych. Okazało się też, że utrzymanie zakładu w centrum Paryża przechodzi możność materyalną emigracyi.

Przytem zmiana statutu Towarzystwa budziła w pewnych sferach niezadowolenie. Statut pierwotny z r. 1841 dopuszczał do wpływów na szkołę i do kierowania jej losami wszystkich ojców rodzin emigracyi. Statut nowy z r. 1843 oddawał zakład pod opiekę i kierownictwo tylko 15 czynnych członków Towarzystwa, z pośród których wyłączył profesorów i urzędników szkoły. Chodziło reformatorom o uchronienie szkoły od chwiejnej polityki rozmaitych partyi politycznych; ale reformy te nie podobały się opozycyi.

Opozycya, pozbawiona tym sposobem wpływów na szkołę, chwyciła za inną broń: zarzuciła Radzie szkolnej cały szereg nadużyć w sprawie nauczania, rachunkowości i administracyi. Wywiązała się przykra polemika. Sprawa wytoczyła się przed ministra oświaty. Rada szkolna wyszła z walki zwycięsko. Minister przysłał na prośbę Rady wizytatora swego do szkoły, osobę zaufaną i fachowo wykształconą, przekonał się, że zarzuty, czynione szkole, są bezpodstawne i surowo nakazał opozycyi przez prefekta policyi paryskiej milczenie.

Po tej burzy dokonała Rada rozmaitych zmian i reform. Ze względów oszczędnościowych przeniesiono szkołę z śródmieścia

na przedmieście Paryża. Dyrektorowi, który sobie uzurpował więcej praw, aniżeli mu przyznawała Instrukcya, dano dymisyę i zamianowano w jego miejsce dyrektorem ks. Dąbrowskiego, magistra teologii Uniwersytetu warszawskiego, byłego kapelana wojsk polskich, osobistość na emigracyi lubianą.

Posyłanie uczniów do zakładów francuskich wstrzymano, wszyscy mieli odtąd pobierać naukę w samej szkole.

Szkoła przeniosła się na przedmieście Batignolles dn. 8. paźdz. 1844 r i odtąd nosi miano batyniolskiej; a nowa organizacya szkoły weszła w życie dnia 1. stycznia 1845 roku. Naukę rozdzielono na lat sześć. Liczba uczniów dobiegła do 65 internistów i trzech eksternistów.

W program nauki wchodziła odtąd: religia, łacina i greka, język francuski, historya i geografia, arytmetyka i geometrya, historya naturalna i fizyka, rysunki odręczne, architektoniczne i topograficzne, kaligrafia, śpiew i gimnastyka.

Z przedmiotów polskich prócz śpiewu polskiego uczono: języka polskiego, literatury i historyi polskiej.

Program szkoły obejmował więc, mówiąc krótko, przedmioty wykładane w ówczesnych kolegiach francuskich, a prócz tego przedmioty polskie.

Szkoła polska przyjęła, dla tego program kolegiów francuskich, aby jej wychowankowie na wypadek przedłużania się pobytu za granicą po wyjściu z szkoły polskiej, mogli kontynuować nauki w szkołach specyalnych francuskich w zawodzie cywilnym lub wojskowym. W tym też celu uzupełniono plan naukowy językami angielskim i niemieckim.

Byt materyalny szkoły zaczął się utrwalać coraz silniej. Rząd francuski przyznał był zakładowi polskiemu roczną subwencyę w kwocie 1.000 fr., którą wnet podwyższył do 2.000 fr., potem do 7.200 fr., a przy otwarciu szkoły w nowym lokalu do 22.500 fr., zaokrągloną wnet do 23.000 fr. na utrzymanie 50 uczniów. Ofiary prywatne nadpływały regularnie i wcale obficie, zwłaszcza z Poznańskiego.

Grono nauczycieli, znacznie powiększone, składało się w części z emigrantów polskich, a w części z ukwalifikowanych nauczycieli szkół publicznych.

Nad młodzieżą zamieszkałą w internacie czuwało dwóch mistrzów studyów. W charakterze takiego mistrza wszedł do zakładu po raz pierwszy w styczniu r. 1845 Stanisław Malinowski, który miał w dziejach szkoły niebawem odegrać tak ważną rolę.

Stanisław Malinowski, urodzony w r. 1812 w Królestwie polskiem, ukończył świetnie studya w szkole wojewódzkiej kieleckiej z świadectwem dojrzałości w r. 1828 i udał się na nauki do Uniwersytetu warszawskiego. Studya przerwał z powodu powstania listopadowego, w którem wziął czynny udział. Po upadku powstania emigrował do Galicyi, gdzie rozwijał energiczną czynność agitatorską i brał żywy udział w tajnych naradach politycznych rozmaitych towarzystw. Zetknął się tu i zaprzyjaźnił z rozmaitemi głośniejszemi osobistościami. Ścigany przez policyę wyjechał z Galicyi w r. 1838 razem z Sewerynem Goszczyńskim, Lucyanem Siemieńskim i innymi.

Przybywszy do Paryża, wziął Malinowski od razu czynny udział w życiu politycznem i w pracach emigracyi. Zalecony przez Leona Bilińskiego, profesora szkoły polskiej, przyjaciela swego, z którym konspirował w Galicyi i obcował w Paryżu i w Wersalu, zajął Malinowski stanowisko w szkole polskiej. na razie dozorcy i mistrza studyów.

Malinowski nie nadawał się na ten posterunek o tyle, że nie znał języka niemieckiego i angielskiego, ale za to odznaczał się wybitnemi zdolnościami pedagogicznemi, był dobrym wychowawcą. Energia, zjednoczona z spokojem, jednały mu poważanie u uczniów, a sumienne spełnianie obowiązków uznanie ze strony przełożonej Rady, któremu ona niebawem miała dać praktyczny wyraz.

Pomiędzy Radą a dyrektorem szkoły, ks. Dąbrowskim, przyszło do poważnych nieporozumień. Rada usunęła go, a zamianowała w jego miejsce, dnia 9. lutego 1846 r. dyrektorem prowizorycznym właśnie Stanisława Malinowskiego. Na tem stanowisku pozostał Malinowski jednak bardzo krótko, bo zaledwie do końca r. szk. 1846/7.

Ustąpił z własnej woli, zatrzymawszy nadal stanowisko ochmistrza studyów. Pobudki ustąpienia były rozmaite ale niekoniecznie słuszne.

Z końcem roku szkolnego 1846/7 uczniowie najwyższej czyli szóstej klasy, ukończywszy studya programem przepisane, mieli przystąpić do egzaminu bakalarskiego z nauk klasycznych albo do egzaminu w szkole centralnej. Uczący orzekli, że znaczna część kandydatów nie była należycie przygotowana, zwłaszcza do egzaminu z matematyki w szkole centralnej. Profesor matematyki wystąpił z wnioskiem, aby klasę najwyższą odtąd podzielić na dwa oddziały i aby w jednym przygotowywać uczniów do egzaminu

baccalauréat-ès-lettres, a w drugim do szkoły centralnej więcej w kierunku techniczno-realnym. Wniosek ten upadł mimo poparcia dyrektora Malinowskiego. To był jeden z powodów jego rezygnacyi.

Przy tej sposobności zerwała się nad szkołą nowa burza. W toku walki zarzuciła opozycya, że „atmosfera wyższa szkoły nie jest religijną“, a raczej że „jest religijną na swój sposób“. Głoszono, że „Rada wychowania, kierująca szkołą, w większej połowie składa się z członków Towarzystwa demokratycznego, więc i cały prawie urząd szkolny należy do tego związku“; słowem, że szkoła batyniolska przeszła pod kierunek Towarzystwa demokratycznego. Bez podania powodów wysnuła opozycya z tych premis wniosek, że demokratyczny kierunek szkoły „wywiera szkodliwy wpływ nie tylko na ukształcenie religijne, lecz także na ukształcenie obywatelskie“.

Były to zarzuty wręcz wysane z palca, całkiem niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy. Rada zajmowała stanowisko szczerze religijne i wybitnie narodowe i w tym duchu prowadziła szkołę. Polityki w zakładzie nie uprawiano. Niedostatki zaś wspomniane w przygotowaniu do egzaminów końcowych przypisać trzeba dawniejszym anormalnym warunkom, w których się uczniowie znajdowali. Obecnie dokonywał się powolny ale stały rozwój zakładu pod każdym względem. Towarzystwo powoływało coraz lepszych profesorów, powiększyło bibliotekę, kompletowało zbiory naukowe, urządziło laboratoryum chemiczne, jednem słowem zaopatrzyło zakład w wszystkie niezbędne środki naukowe.

Pierwsze egzamina w zreorganizowanej szkole wypadły wcale pomyślnie.

Równolegle z rozwojem naukowym dokonywał się rozwój materyalny szkoły. Mobilia jej, zabezpieczone w r. 1846 w Towarzystwie ogniowem, oszacowano, nisko licząc, na 100.000 fr.

Dla pomieszczenia zwiększającej się ciągle liczby uczniów w r. 1846 rozszerzono znacznie lokalności szkoły.

Ten piękny, pierwszy rozwój zawdzięczała szkoła głównie pracom, staraniom i zabiegom Alojzego Biernackiego, generała Dwernickiego i posła Ledóchowskiego. Oni głównie przyczynili się do położenia trwałych fundamentów egzystencyi i wzrostu szkoły przez wyrobienie u rządu francuskiego stałej pomocy na utrzymanie bezpłatne w szkole 100 uczniów i przez spieszne dokonanie pierwszej jej organizacyi.

Z Francuzów skuteczne poparcie zawdzięczała szkoła Pailletowi, szefowi bióra wychodźców politycznych przy ministeryum spraw wewnętrznych; deputowanym Izby francuskiej Vavin'owi i Lasteyriemu, dawnemu profesorowi i dyrektorowi nauk w Szkole politechnicznej oraz inspektorowi Szkoły polskiej z strony ministra spraw wewnętrznych Moyencourt'owi.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

19. sierpnia. Dalszy ciąg podróży morskiej do Neapolu.

Następnego dnia zamieszanie od samego rana dochodzi do ostatnich granic. Jeden głupiec, widząc od paru dni szczere moje zabiegi około emigrantów, wyzyskuje po swojemu moją dobrą wolę grożąc. że skoro nie dostanie zaraz więcej kawy, to rzuci dzieci do wody, aby już raz skończyły z tym głodem. Poradziłem mu, aby zaczął od siebie wodą morską głód zaspakajać.

Zasiadam znów z komisarzem do tworzenia nowego spisu osób, poczem nakłaniam energicznie do zgody, dowodząc, że narażamy się na wstyd i najgorszą opinię w obec „Talianów“ (Włochów). Jeszcze przy rozdawaniu kawy niezgoda zaznaczała się silnie. Starałem się ją łagodzić, używając wszelkich środków, które zdawały mi się do tego celu prowadzić. Istotnie też już przy obiedzie zauważyłem z wielkiem swem zadowoleniem większą harmonię pomiędzy nimi. Jakoż przekonałem się, że nie rzucam grochu na ścianę i że wcale nie poszły w las moje namawiania, nawoływania

i łajania. Uspokoili się znacznie, tylko 2 rodziny a raczej 2 głowy rodzin (o ile o głowach przy bezdennej głupocie może być mowa), jedna o historycznym dzwięku „Mazepa“ i druga o mniej skomplikowanem nazwisku „Hadada“, nie mogły się w żaden sposób pojednać ze sobą i nie podobna było ich nakłonić do wspólnego biesiadowania.

Nie było dla mnie prawie chwili odpoczynku. Czas miałem niezgorzej zajęty. Od 7 do 9 rano i od 3 do 5 po południu musiałem być codziennie tłómaczem lekarza i chorych. Zaręczam zaś, że napracowałem się przytem znacznie więcej niż doktór a prócz tego w sprawach wszelkich tak drobnych, jako i ważniejszych, przychodzili do mnie o poradę, niewyłączając starych bab, w dolegliwościach najpoufniejszych. Znużony bardzo, umykałem do kryjówek takich, że mnie nikt nie mógł odnaleźć; przez krótki przeciąg ten czasu przynajmniej, żywo odczuwałem jaka to jest rozkosz, samotność i spokój.

Skutkiem zapewne poprzedniego denerwującego trybu życia, a przedewszystkiem w następstwie zmęczenia dni poprzednich i gorączkowego pisania listów wśród skarg i przekleństw dopełniła mi się miara znużenia. Pisać zaś listy musiałem, aby je nazajutrz w Neapolu rzucić do skrzynki; Neapol jest bowiem ostatnią stacyą okrętu naszego w Europie: następna dopiero będzie za jakie 10 dni na wyspie św. Wincentego archipelagu przylądka Zielonego (capo Verde) na samym środku Atlantyku.

Pod wieczór już z bólu głowy i gorączki nie mogłem prawie kreślić piórem, listy przeto musiały być niedokończone. Walczyłem jednak zawzięcie z napadającą mnie sennością, aby zobaczyć w nocy wybuchający Wezewiusz. Dla roztrzeźwienia się zagadywałem swych towarzyszy, badając, jakie wrażenie robi na nich podróż. Oni zaś wypytywali się, czy brzeg, który ciągle widać z daleka po lewej stronie biegu statku, to wciąż Włochy. Gdy odparłem, że to dopiero ich połowa, dziwili się niezmiernie nad ogromem tego kraju, mówiąc: „Co to za potężne państwo być musi“. Nie znali jeszcze wcale obszarów amerykańskich; nie domyślali się, że niezadługo brzegami Brazylii lub Argentyny, wypadnie każnemu z nich jechać całemi tygodniami a nie jakieś 2 doby zaledwie.

Minęliśmy tymczasem wyspę Ischia już dobrze po zachodzie słońca. Z nastaniem ciemności nocnych cisza zapanowała na statku. Była to noc południa cudowna, boska, pełna tajemniczych błękitów i księżycowych półświateł. Czar takiego otoczenia zrobił na

mnie wrażenie potężne, nie przypuszczałem, żebym w ogóle był zdolny wpaść w taki zachwyt przez samo napawanie się widokiem niewyraźnym wód i nieba. Oparłszy się więc o barjerkę parostatku, stałem nieruchomy... bodaj zahipnotyzowany. Morze było niezwykle spokojne tak, że statek posuwał się po ciemnym granacie jego wód, jak po rzece lub spokojnem jeziorze. Wszystko wydawało mi się unieruchomione, majestatyczne, wspaniałe; tylko ruch maszyny udzielał lekkich dreszczy okrętowi. Jednakże ognia wulkanicznego od Wezuwiusza nie mogłem się doczekać. Zawiedziony, udałem się na spoczynek.

Sen miałem bardzo nieskopojny, najdziwaczniejsze halucynacye nawiedzały mnie. Widziałe białe postacie, z tamtego świata, słyszałem ich krzyki, to bitwa morska. Białe duchy wrzeszczą, wytaczają armaty, strzelają z moździerzy, jakieś nieprzyjacielskie postacie czarne, wkraczaja na pokład. Stanąwszy po stronie białych rzucam się na czarnych, strzelam, rąbię pałaszem, spycham do wody, czarny dyabeł pali mi w łeb z ogromnego jak armata rewolweru. Budzi mnie ta pieszczota, znów zasypiam, znów na nowo jeszcze dziwaczniej śnię o bitwach morkich. Powtarzały się te majaczenia w ciągu paru nocy pierwszych na okręcie, lecz coraz słabiej, aż ustały.

Stanęliśmy późną nocą w zatoce neapolitańskiej.

20. sierpnia. — Neapol.

Od samego rana rój przekupniów z owocami i taniemi towarami zalega port.

Wychodźcom kapitan nie pozwolił udawać się na miasto ani przekupniom wstępować na pokład statku. Wtedy powstały liczne porozumiewania się telegraficzne bez drutu i elektryczności a za pomocą sznurków. Nie obyło się bez skarg na Neapolitańczyków, którzy, otrzymawszy pieniądze, zapominali przesunąć towar. Kapitan uznaje się bezsilnym w zaradzeniu takiej nierzetelności i radzi w ogóle nie kupować owoców, jako bardzo niezdrowych. Gdy rada nie skutkuje, zabrania wprost wszelkiej komunikacyi... lecz z częściowym tylko skutkiem, nie podobna było upilnować wszystkich sznurków.

Otrzymawszy pozwolenie wyjścia na miasto, musiałem uprowadzić ze sobą o 9-tej rano Mikulskiego, męża zaufania ludzi naszych, którym wciąż powtarzałem od Lwowa i Wiednia, że trzeba

pieniądze austryackie zmienić na złoto jaknajprędzej, korzystniej we Lwowie i Wiedniu niż w Udinie, korzystniej tamże niż w Genui, korzystniej w Neapolu niż w Brazylii. Nie poszła nauka w las. Sam nie podjąłem się tej zamiany austryackich i włoskich pieniędzy na złoto; objuczono poleceniami zmian monetarnych Mikulskiego. Pomagałem mu rozmówić się z kankierami w Neapolu i jaknajkorzystniejszych dokonać transakcyi. Lecz następnie całe piwo, nawarzone na statku ze skarg na tę zmianę, pił on nie ja. On także łatwiej mógł się porozumieć z prostym ludem.

Zaczęliśmy błądzić po wielkiem a pięknem mieście. Uderzyło nas mnóstwo księży na ulicy. Co 5-ty przechodzień był kapłan lub kleryk. Sprawiało to zawód krótkowidzowi, domyślającemu się z dala kobiety w czarnej sukni, a nadawało miastu pozór średniowieczny. Jeden z księży uprzejmie nas zagadnął po włosku i poradził wziąść tramwaj do piazza del Municipio, gdzie pono najlepiej dokonywać zakupów i zmiany pieniędzy.

Istotnie tramwaj dowozi nas do olbrzymiego placu, niby warszawskiej kombinacyi Żelaznej Bramy z Nalewkami. Zakupiwszy francuski opis i plan Neapolu oraz słowniki włosko francuskie, poczułem się panem położenia i z pewnością rodowitego Neapolitańczzka kłócę się i targuję po francusku i włosku w bankach, sklepach i bazarach.

Znalazłem ze zdziwieniem Włochów wszystkich bardzo uprzejmych i uczciwych, wszelkie zakupy wypadły nam niezmiernie tanio; choć rozmawialiśmy z niewiastami, żaden Włoch nie pchnął nas nożem, jak tego by wypadało doświadczyć na mocy tylu dokładnych opisów podróży po Włoszech.

Neapol, to stolica wspaniała o szerokich ulicach, wielkich placach, może tylko trochę za mało polewana wodą a przeto zaopatrzana więcej, niż potrzeba, w tumany kurzu.

Gdy po południu powróciliśmy na statek, zastaliśmy go obiążonego wagą 451 Neapolitańczyków i Kalabryjczyków. Lud ten południowo włoski okazał się w ciągu podróży porywczym, gorącym i bodaj czy nie mniej cywilizowanym od ludu polskiego i rusińskiego. Kilka razy nawet słyszałem potem zdanie wyższej służby statku naszego, że to „skończone bydło“ w porównaniu z najgorszymi naszymi rodakami. Południowcy ci i nasi zaraz zaczęli porozumiewać się ze sobą, przyczem pokazywali sobie szkaplerze, przysięgali sobie, robiąc znaki krzyża, podnosząc prawicę do góry, przykładając ręce do serca.

Na pokładzie pod wieczór zapoznaję się z miłym człowiekiem, Wilhelmem Falcone, adwokatem w Neapolu. Zamieniwszy ze sobą bilety wizytowe, rozmawiamy po francusku i włosku o wielkiej polityce. Dziwnie dobrze rozumiałem wszystko, co tylko mówił do mnie po włosku. Nawzajem uczyłem go po polsku. Potrzebował niezbędniejszych wyrazów polskich dla rozmówienia się z wychodźcami. Wypisałem mu je i wskazywałem, jak się wymawiają a on powtarzał je od razu dobrze.

Komisarzowi wystawiam na piśmie świadectwo, że pomiędzy wychodźcami niema już kłótni i porządek został przywrócony.

Wyruszamy w drogę po 10-tej wieczorem, zachwyceni zatoką neapolitańską. zawsze piękną czy w dzień czy w nocy. Wezuwiusz jest wciąż spokojny i nie wydaje z siebie nic. prócz dymu z ledwo dostrzegalnem w nocy światełkiem u szczytu. Zawsze jednak przejmuje grozą i czuje się, patrząc na niego, potęgę mowy mistrza Adama, „dymiącego, jak wulkan, niekiedy przez słowa“.

21. sierpnia. — Na morzu Śródziemnem.

Około 5-tej rano budzi mnie znaczne kołysanie statku. Morze jest mniej spokojne, niż przedwczoraj między Genuą a Neapolem. Widać jakieś wyspy skaliste po prawej stronie, bodaj Pontyjskie.

Porządek przy obdzielaniu jedzenia jest wzorowy. Komisarz chwalił nasze plemię i przyznawał mu wyższość nad Neapolitańczykami, których nazwał najgorszymi Włochami. Rozczulił się lis nad wychodźcami naszymi i wziął mnie na spytki, abym go objaśnił, jakie potrawy nasi ludzie jedzą najchętniej n. p. czy z ziemniaków, makaronu, mięsa, ryb. Opowiadałem mu o rozmaitych potrawach polskich, wychwalając ich znakomitość, prostotę i powszechne używanie. Przytaczałem jajecznicę z kiełbasą, różne polewki, zacierki, mamałygę rusińską z kukurydzy, groch z kapustą, zrazy, kołduny i t. d., ale w ten sposób, aby nic z tego nie rozumiał i w niczem nie mógł się dostosować do kuchni polskiej. Albowiem wstyd mi było przyznać się, że moi współtowarzysze na statku byli lepiej żywieni, niż u siebie w kraju. Twierdziłem tylko, że niektóre dania włoskie miały podobieństwo do polskich z tą różnicą, że nasze są posilniejsze, jak tego wymaga klimat chłodniejszy, i że przeto emigranci polscy muszą jeść więcej od Włochów... dopóki ich nie osłabi gorąco.

Niedługo potem po południu przebiegły „Commisario“ chwalił mi się z chytrym uśmiechem, że musiał im do smaku trafić, bo odznaczają się niezwykłym apetytem i to takim. jakiego nigdy nie mają Włosi. Mówiłem mu wtedy, że my należymy do innej rasy, silniejszej, o grubszych kościach, potrzebującej zatem silniejszego pożywienia. Starannie taiłem okoliczność, że lud nasz jest wygłodniały przez szereg generacyi, przyzwyczajony nawet do tyfusów głodowych, że jest ludem o szalonej płodności, lecz też i o przerażającej śmiertelności, szczególnie dzieci, z niewygód i braku dostatecznego pożywienia. Zarządca kazał wprawdzie podwajać porcyę tym, którzy o to prosili. jednak nie mógł pozwolić, aby dawano każdemu zupełnie dowoli; zjedliby wszystkie zapasy przed przyjazdem do Brazylii.

Stosunek służby okrętowej wyższej i niższej do Neapolitańczyków nie zapowiadał się czule. Po południu byłem obecny rozmowie wice-kapitana z Włochem średniego wieku o rysach bardzo regularnych i spokojnem a poważnem zachowaniu się. Mówili do siebie szybko, jeden drugiemu zdawał się przerywać, ale miałem wrażenie, ze gawędzili ze sobą grzecznie i zgodnie tak, jakby się wzajemnie o czemś zapewniali lub zaklinali się na coś, w dowód wysokiego szacunku i szczerej przyjaźni. Uderzyło mnie tylko powtarzane często słowo „testa“ (głowa). Gdy się rozeszli, pokombinowałem wyrazy i zrozumiałem, że wice kapitan obiecywał rozwalić mu głowę.

Pod wieczór kapitan musiał kazać uwięzić jednego Neapolitańczyka za krnąbrność i zniewagę majtka. W ogóle zaraz od pierwszego dnia Neapolitańczycy nie zachowali się przykładnie, w obec czego naszym łatwo było stać się wzorem porządku. Włosi n. p. zakradali się do przedziału kobiet, przebrawszy się za kobiety, nasi wyciągali ich za nogi z pod łóżek. Nastąpiło zupełne oddzielenie obydwóch narodowości. Neapolitańczyków przeniesiono na piętro wyższe, zkąd rzucali różne paskudstwa na naszych, wcale nie przez figle, lecz z prostego niechlujstwa.

Stosunek naszych ludzi do załogi okrętowej, stał się jak najlepszy; przez całą podróż w sporach z Neapolitańczykami dawano naszym słuszność z góry, bez rozsądzania sprawy. Nasi istotnie zaczęli być lubiani z powodu swej uczynności: pomagali w kuchni skrobać kartofle, utrzymywali porządek około 8 wołów i 2 osłów.

Miałem w obszerniejszym zakresie wykład o kolonizacyi w Brazylii, po skończeniu którego, zarzucony pytaniami, dostałem

aż chrypki od bezustannych objaśnień. W zamian i ja dowiedziałem się od nich ciekawych rzeczy m. i. o tem, że Nodarowie (agenci emigracyjni) dobrze się obchodzili z tymi, którzy przez miesiąc czekali w Udine. Nic dziwnego! Zarabiali na wyczekiwaniu okrętu przez naszych.

Tuż przed zachodem słońca zarysowały się wyraźnie przed nami po prawej stronie biegu okrętu górzyste brzegi Sardynii — przy zmierzchu prześcigamy jakiś włoski parostatek z objawami powszechnej radości i okrzykami.

22. sierpnia. — Dalszy ciąg na morzu Śródziemnem.

Morze o wschodzie słońca bardzo niespokojne, — żadnego lądu nie widać, prócz po prawej stronie za nami znikających skał nadbrzeżnych Sardynii; o 7-mej rano wołają mnie jak zwykle, abym był tłumaczem w szpitalu; tego dnia objawiły się liczniej u płci pięknej choroby: tyfoidalno-gastryczne, bronchitis, kaszle, a głównie choroba morska... z przyczyny większego kołysania się okrętu.

Dopiero w tym dniu ceremonialnie zamieniłem bilety wizytowe z kapitanem Nobaresco i lekarzem Benedetti przy towarzyszących wzajemnych objawach wysokiego szacunku i przychylności oraz obfitym poczęstunku własnego jakiegoś, nie okrętowego wina. ze strony kapitana. Zawiązanej w ten sposób przyjaźni nic nigdy nie zamąciło; musiała ona tylko urwać się przez rozłączenie w Rio de Janeiro.

Pod wieczór inteligentniejsi z wychodźców zagadują mnie o Kolumba: przez godzinę prawię im o odkryciu Ameryki, o geologii, wulkanach i morzu.

Jako współtowarzysz podróży znalazł się wśród nas Kroat, mówiący trochę po polsku, niemiecku i włosku; dokładał wszelkich starań, aby namówić naszych ludzi do przyjęcia robót w brazylijskim stanie Sao-Paulo (wym. Są-Paulo) na „kawie". Jakkolwiek nie sprzeciwiali mu się wyraźnie, zaznaczali jednak ochotę udania się do brazylijskiego stanu Parany. Kroat wściekał się, że żadnego skutku nie wywarła jego namowa.

Zabrawszy ze sobą próbki konserw jarzynowych i owocowych fabryki w Bochni, dałem je p. „comisario" (rządcy okrętowemu) Józefowi (Giuseppe) Romagnole, aby je skosztował. Spróbowawszy, bardzo je chwalił i oświadczył, że konserw takich na

okrętach daje się uczuwać wciąż wielka potrzeba. Szczególnie pewna firma genueńska (Felippo Gambino, negociante, Genova, via del Campo) dostarcza je masami okrętom, chętnie zakupuje, zkąd tylko może na wielką skalę. — Wystawił też tym próbkom bocheńskim bardzo pochlebne świadectwo, oraz wystosował list do firmy genueńskiej, polecając je. Zawiadomienie o tem przesłałem Polskiemu Towarzystwu Handlowo-Geograficznemu we Lwowie, które je dostarczyło, jak się dowiedziałem później, interesowanym, t. j. fabryce konserw w Bochni.

23. sierpnia (piątek). — Na morzu Śródziemnem w pobliżu Hiszpanii.

Morze dziś znacznie spokojniejsze. Od 7-mej rano praca moja w szpitalu stała się uciążliwszą, gdyż zwaliło się doń sporo chorych na głowę i brzuch. Były to skutki owoców neapolitańskich, zakupionych ukradkiem, wbrew zakazowi kapitana. Wraz ze spokojem morza nastała burzliwość dusz ludzkich. Jeden drugiego uderzył pięścią pod oko i poszedł za to do kozy, żona uciekła od męża, który chciał ją bić i t. p.

Najwięcej zmartwiło mnie to, że własność w niewielkiem poszanowaniu znajdowała się u naszych: albowiem okazało się kilkakrotnie, że jeden drugiego okradł, że znikały nawet rzeczy znajdujące się w kieszeniach. Wyciągali jeden drugiemu tytoń — a nawet monetę (raz w ilości 5-ciu złr.).

W ciągu dnia postanowiłem ściągnąć należność za przesyłkę pakunków z Wiednia do Genui. Mając spis tych, którzy mi jej nie zwrócili, przystąpiłem do tej czynności, prosząc Mikulskiego, by mnie wyręczył i należność tę odebrał. Zaczęto się zapierać tych pakunków, twierdząc, że one nie są warte 10 złr., że mi je oddadzą, abym je sobie sprzedał w Rio de Janeiro — ostatecznie trzech zapłaciło. Z tych jeden twierdził, że płaci podwójnie, bo już raz opłacił, co się należało, dwaj inni zaś zapłacą dopiero w Rio de Janeiro, jak zobaczą, że kuferki nie pozostały w Genui. — Nie bardzo to zachęcało mnie, abym w przyszłości płacił z góry za wszystkich, a potem dopiero powoli przychodził do swego. Główne winowajczynie w tej sprawie, powtarzam, były drapieżność i nałóg podstępu kompanii kolejowej austryackiej; niewyćwiczony bowiem w zręcznych zdzierstwach prosty umysł

chłopa naszego nie mógł się pomiarkować, kto z inteligentów go obdziera.

Widać bardzo górzyste brzegi Hiszpanii oraz światła latarni morskiej i okrętów, które spotykamy i wyprzedzamy. Zbliżamy się do przylądku Palos (słupy po hiszpańsku). Około 9-tej godziny przejeżdżamy w pobliżu Kartageny, największego portu wojennego hiszpańskiego. Spodziewanych wielkich świateł nie widać z powodu pory spóźnionej.

24. sierpnia. — *Ostatni dzień na morzu Śródziemnem. — Gibraltar.*

Morze bardzo się uspokoiło, jakby oszczędzając chorych — szczególnie względne okazało się dla jednej mężatki, o której rozeszła się rano wiadomość, że odbywa słabość. Idę do piętra dolnego i w oddziale kobiecym widzę brunetkę o cerze oliwkowej, stojącą i nieco tylko nachyloną... a nawet nie stękającą. Domyśliwszy się, co się dzieje, zachęcam ją do cierpliwości i mówię, że doktór zaraz przyjdzie, odpowiada mi: „nie potrzebuję doktora", potem jednak dała się zaprowadzić do szpitala, gdzie przyszły na świat bliźnięta. Przeniesiono je na inne miejce i gdy doktór kazał jej wyciągnąć się na łóżku sąsiedniem, wygodniejszem, skrzywiła się, jakby coś niesmacznego zjadła i nieruszyła się z miejsca. Doktór wtedy zauważył, że 3-ci obywatel przychodzi na świat, co rzeczywiście miało miejsce. Urodziły się 3 dziewczynki zdrowe..., a i matka wkrótce była zdrowa. Ludność rusińska się mnoży: za chwilę meldują nam boleści połogowe innej Rusinki.

Życzliwa mi mazurka (Grdeniowa) wypowiada swoją radość z powodu bardzo wyraźnego snu, który u niej zawsze się sprawdza; widziała dokładnie, że na nową kolonię sprowadzam się, jako nauczyciel. Jeszcze trzebaby koniecznie ściągnąć ks. Jaszczuka z Chodorowa, lecz o tem nie śniło jej się: bardzo więc wątpi, czy się to uda. — Grupa Rusinów, usłyszawszy to, chce też być na kolonii, gdzie będę nauczycielem. Ale Mazury wyrażają ochotę oddzielenia się od Rusinów, nawet na tej samej kolonii — przystaję na to wszystko bardzo chętnie.

Około 12-tej znika nam całkiem z oczu brzeg hiszpański, zwracamy się cokolwiek na południe ku Gibraltarowi. Pobliże cieśniny gibraltarskiej zapowiada się silnym wiatrem. Mimo dość pomarszczonej przez wiatr powierzchni morza, okręt idzie równo,

jakby po jeziorze. Wiatr wprawdzie nie na żarty dął między lądami europejskim i afrykańskim, ale bałwany były małe i szły w krótkich odstępach, jeden za drugim, na okręt wprost z przodu w kierunku północno-wschodnim tak, że okręt prawie wcale się nie kołysał.

Około 3-ciej odbyła się ceremonia chrztu 3 dziewczynek i 1 chłopca. W braku duchownego ochrzcił je kapitan.

Lekarz okrętowy opowiada mi drobny fakt, który wzmocnił jego sympatyę dla naszych. Ubolewał nad nieuczynnością swoich rodaków: prosił Neapolitanki, aby mu zeszyła drobnostkę — odmówiła... udał się do Mazurki — ta mu najchętniej wyświadczyła zaraz tę małą przysługę, a jeden z podkapitanów powiedział wprost, że Neapolitańczycy przynoszą tylko hańbę włoskiej ojczyźnie.

Około 6-tej wieczorem widać już cieśninę. Oba lądy stałe sterczą wielkiemi górami ponad powierzchnią wód — płyniemy środkiem. O zachodzie słońca mijamy Ceutę, wojenny port hiszpański w Afryce, następnie płyniemy pod warownią angielską Gibraltarem.

Olbrzymia skała gibraltarska mieści w sobie kilkopiętrowe galerye, najeżone armatami: w 2 sekundy mogą one wyrzucić 1.000 pocisków. Armaty przesuwać dowolnie we wszystkich kierunkach i kierować niemi może dziecko — maszynerya odpowiednia ułatwia ruchy tych żelaznych potworów. Na przodzie skały świeci miarowymi błyski latarnia morska. Mijamy forteczną skałę, odległą od nas o milę i przez to odkrywamy sobie widok na skały z drugiej strony, małe miasteczko Gibraltar, okręt wojenny i jakieś ognie forteczne.

Warownia angielska z kawałkiem ziemi oddzielona jest od terytoryum hiszpańskiego szczupłą przestrzenią neutralną, wolną, niezaludnioną i dla żadnego żołnierza obu sąsiadów niedostępną, wedle umowy. Jest ona za to zamieszkałą przez małpy. Jedyne to miejsce w Europie, gdzie te zwierzęta żyją na swobodzie.

Minąwszy zatoczkę Gibraltarską, płyniemy potem niewyraźnym już z powodu wieczornych ciemności brzegiem górzystym hiszpańskim ku granicy portugalskiej, tracąc też z oczu góry nadbrzeżne afrykańskie.

Niedziela 25. sierpnia. — Pierwszy dzień na Atlantyku.

Jesteśmy nareszcie na pełnym oceanie. Pogoda prześliczna; błękity nieba, przeglądające się w nieprzejrzanej przestrzeni wód, przedstawiały dla artysty niedoścignione wzory piękna. — Morze jest niby spokojne; lecz, mimo to, dość znaczne bałwany, powstałe po burzy, biją od zachodu w bok okrętu, skoro zwróciliśmy wyraźniej bieg nasz na południe. Okręt przeto mocno się kołysze i wszystkie kobiety oraz wielu mężczyzn dostaje choroby morskiej.

Dziecko jedno, nieżywo urodzone, zostało natychmiast wrzucone do wody, wedle przepisów. Lud nasz o tem nie wiedział i przypuszczał, że z powodu niepochowania go morze jest niespokojne. Wystosowano do mnie podczas obiadu list z prośbą, abym przyczynił się do uwolnienia statku od trupa: brzmiał on dosłownie: „Żona Pawła Rudego urodziła dziecko nie żewe. Prosze pilno pochować. Żeczeniem ludzie“. Oświadczyłem, że zostało wrzucone do morza i istotnie około godziny 5-ej po południu morze się uspokoiło. Oficerowie statku pocieszali mnie, że Neapolitańczycy są jeszcze zabobonniejsi.

Znów napływają ludzie do szpitala i to rzeczywiście cierpiący, lecz wcale nie niebezpiecznie, choć im się wydawało, że już konają z choroby morskiej. Wcale trudno było wytłumaczyć naszym, że na takie cierpienie nie wynaleziono dotąd lekarstwa; musiałem objaśniać bez końca w kółko jedno i to samo. Co innego było z przystojnym i zdrowym zupełnie młodzianem neapolitańskim, który udawał wciąż od paru dni, że go bolą brzuch i głowa, aby wyłudzić lepszy wikt dla siebie, jako chorego. Lekarz zniecierpliwiony nalał mu szklannicę oleju rycynowego i podał. Pacyent wychylił ją do dna... i od tego czasu nie przychodził do szpitala.

26. sierpnia. — Na Atlantyku dzień drugi.

Morze spokojne, choroby przeto morskiej niema; lecz za to inne cierpienia zaczynają nawiedzać statek; napływ chorych do szpitala zwiększa się. Tłok.

Denerwująca scena odbyła się w moich oczach przy ratowaniu dziecka duszącego się. Matka wrzeszcząc i trzymając dziecko,

przeszkadzała lekarzowi dokonać operacyi, który przez to ledwie wydarł je śmierci.

Atlantyk staje się miejscem urodzenia dla coraz większej ilości obywateli; aż do Rio de Janeiro nie będzie pewnie prawie dnia bez wizyty bociana. Przestaję zatem od tej chwili czynić nadal wzmianki o zaludnianiu się statku.

Tymczasem wspomniany wyżej Kroat burmistrzuje inaczej: zaprzyjaźnił się z kucharzem i kuchcikami, — zaczynają się odtąd dziać niesprawiedliwości przy obdzielaniu porcyi z korzyścią dla tych, którzy skłonniejszymi okazywali się do folgowania jego radom; w ten sposób namówił i zapisał do stanu São Paulo na plantacye kawy 15 rodzin; prócz tego spekuluje na zmianę pieniędzy, sprzedaje drogo wódkę i jabłka.

Ruch ludności odbywa się na statku nie tylko przez jej stałe powiększanie się, lecz niestety i przez żniwo śmierci: 6-letnia dziewczynka wieczorem o 10-tej skonała, zawinięto ją w białą płachtę i w nocy, gdy wszyscy spali, statek wstrzymał się nieco, a biały przedmiot podłużny wpadł do wody, poczem parowiec powoli przybrał znów szybki swój bieg pierwotny.

27. 28. 29. sierpnia. — Między wyspami Kanaryjskiemi a wyspami Zielonego Przylądka (Kapwerdyjskiemi). „Parchy“.

Morze przez cały dzień 27-go było jeszcze spokojniejsze, a nadto znów nastąpiła zmiana kierunku biegu okrętu do fal morskich, czy też odwrotnie; skutkiem tego bałwany nie biły w bok, lecz w tył statku, nie sprawiając prawie żadnego kołysania.

Zwracamy się dziś więcej na zachód. Już pojawiają się latające ryby o pletwach wyrosłych w skrzydła. O ile są mokre, wzlatują i przebiegają przestrzeń wynoszącą nawet parę set kroków, — nieodwołalnie zaś wpadają do morza, skoro obeschną. Lecą do światła okrętowego w nocy i pełno ich jest na okręcie bezwładnych, ku uciesze naszych podróżników.

Mijamy wyspę Kanaryjską „La Gran Canaria“. Widzimy po prawej stronie kolej żelazną i pociąg w biegu oraz główne miasto tego archipelagu, Las Palmas.

Znikła „Gran Canaria“ a natomiast zjawia się po tej samej stronie prawej we mgle szczyt góry ogromnej, Teneryfy, na mniejszej wyspie tej samej nazwy. Imponująca góra rzadko wyso-

kie oblicze swoje odsłania z woalki mgieł. w które się stroi bezustannie. Nie mieliśmy szczęścia widzieć obnażonej jej postaci górnej, dochodzącej do wysokości 3.720 metrów — daremnie wypatrywaliśmy, azali wulkan ten nie zionie dymem i ogniem.

Wyspy Kanaryjskie odznaczają się wielką zdrowotnością; podobno są one najzdrowszą miejscowością na kuli ziemskiej, gdyż warunków lepszych dla organizmu ludzkiego nie znaleźli lekarze dotąd nigdzie; to też mnóstwo chorych, zwłaszcza piersiowo, przybywa tam z obydwóch półkuli; pomiędzy pacyentami najliczniejsi są Anglosasi. Las Palmas (45.000 mieszkańców) jest uzdrowiskiem tłumnie uczęszczanem i z wszelkiemi wygodami urządzonem. Na wyspach Kanaryjskich uprawiają europejskie i tropikalne rośliny; wszystkie się udają na różnej wysokości i pochyłości gór.

Drobne zajecia i nieporozumienia dostarczały nam pewnego urozmaicenia w podróży. Rusini zaczeli śpiewać pieśni nabożne chórem cicho i nie ładnie. Włosi wyśmiewali się z nich i przedrzeźniali śpiew, a jeden oficer, zajęty pisaniem w sali jadalnej, wybiegł z niej i wpadł na naszych biedaków z łajaniem włoskiem, by przerwali chór, „Il canto opprime me" (ten śpiew mnie gnębi) — wołał.

Służący ze szpitala rzucał się i niecierpliwił, gdy „wyraźnie" mówił (po włosku) a nasi, nie rozumiejąc, w nos mu się śmiali; skarżył się o to przed lekarzem i kapitanem, wywijając rękoma jak małpa. — Kucharz znów nie wydał jednej słabej kobiecie naszej lepszego pożywienia; kapitan z tego powodu głośno złajał kuchtę i, przy ludziach rozkazał mu natychmiast zrobić osobno dla niej rosół i befsztyk, choć było późno, oraz wydać jej butelkę wina Marsali. Zadośćuczynienie było zupełne.

Pojawiły się na okręcie krosty, lekarz twierdził, że to parchy („la galla"), tylko jakieś odmienne od tych, które znał i badał kiedyś pod mikroskopem; ja zaś nie mogłem się opędzić myśli, że to były wyrzuty z gorąca. Wyszło surowe rozporządzenie, aby każdy, dotknięty tą słabością, zjawiał się niezwłocznie do szpitala. Zachodziła bowiem obawa, abyśmy w Rio de Janeiro nie odsiadywali bardzo długiej kwarantanny. Kapitan prosił mnie, abym ogłosił, że: kto z zarażonych nie uda się natychmiast do lekarza. pozostanie na wyspie Przylądka Zielonego, dokąd przybywamy za kilka dni.

Żądaniu jego uczyniłem zadość, choć wiedziałem, że tego nie zrobi. Zaczęto się wtedy coraz bardziej kryć z tą chorobą.

Aby zapobiedz temu, użyłem fortelu, rozpowiadając im o bardzo złem traktowaniu więźniów przez czarnych na tej wyspie, dodając, że murzyni policyanci, którzy przez kilka tygodni lub miesięcy będą mieli pod swoją opieką zaparszywionych, są niewątpliwie ludzie dobrzy i weseli, ale bardzo lubią za byle co bić laskami bambusowemi w obnażone pięty i są okrutnie łasi na białe kobiety, zresztą poczciwi ludziska i serdeczni... szkoda tylko, że tak porywczy, jak dyabli... skutkiem czego zdarza się często, że połamią kości lub nawet zabiją, za co nie grozi im żadna odpowiedzialność.

To poskutkowało, lekarz nie mógł się nazajutrz opędzić od chorych i zdrowych, życzących sobie lekarskiego rozpoznania, czy są istotnie chorzy.

Ilość parszywych stała się taka, że właściwie nie było zdrowych; tylko najgorzej zarażeni zostali odosobnieni — było ich 20.

Po paru dniach doktór przestał się całkiem troszczyć o chorych i ich odosabniać; utwierdziło mnie to tylko w tem, że się pomylił i o swej pomyłce wiedział.

Po opowiedzeniu dykteryjki o policyantach murzynach, zaniepokojenie wśród wychodźców wzrosło; byłem ciągle w tej sprawie zagadywany i zaczepiany: łapano mnie za ręce i całowano po nich, wszyscy bardzo obawiali się pozostać na wyspie. Nie usuwałem rąk, aby nie okazywać strachu przed takim dotykiem. Wolałem w takich okolicznościach narazić się na chorobę skórną, niż okazać się niedostępnym paniczykiem o niepokalanym puchu łabędzim.

Ponieważ namowy Chorwata do kawy w São Paulo nieco skutkowały, trzeba było koniecznie temu zaradzić. Kazałem jednemu zaufanemu chodzić z wielkim arkuszem i zapisywać, kto sobie życzy jechać do Parany, a kto do S. Paulo na kawę. Zrozumiano powszechnie, że jedzie się do tego ostatniego stanu na ciężką uprawę rośliny kawowej za karę. Zapisywanie na ogromnym arkuszu rzuciło postrach pewien i przeciwdziałało skutecznie propagandzie kawowej Kroata.

Pod wieczór 29-go odbyła się ogólna kąpiel dla kobiet na pokładzie z starannie rozwieszonemi prześcieradłami, zakrywającemi ten widok przed niedyskrecyą mężczyzn. Słychać było głośne śmiechy, pluskanie, wylewanie na siebie nawzajem mnóstwa kubłów. Gdy ściany prześcieradeł opadły, znalazłem przedstawicielki płci pięknej w białych ubraniach, zastosowanych do najgo-

rętszego klimatu i w złotych humorkach. Brały mnie między siebie, całowały po rękach, jakby ojca swego lub „anioła" opiekuńczego a nawet dotykały żartobliwie łopatek czy nie mam skrzydeł. Zarzucały mnie licznemi pytaniami i opowiadaniami; siedzieć musiałem to w tej grupie, to w owej, a gdzie tylko usiadłem, wszędzie obok mnie, nademną i w nogach były białe postacie wpatrzone we mnie. Tak rozmawiając, Rusinki domagały się cerkwi i swego księdza rusińskiego w Brazylii. Czyż im można było co odmówić? Przyrzekałem wszystko wedle możności — one mi wierzyły szczerze i, jak się okazało, bez zawodu.

30. i 31. sierpnia. — Na samym środku Atlantyku. Wyspy Zielonego Przylądka czyli Kapwerdyjskie. „Szajka". Opowiadania.

Morze dość spokojne — niebo trochę pochmurne. Spisywanie na arkuszu dokonywa się w dalszym ciągu. Sprawia to wielkie zaciekawienie i zaniepokojenie — zarzucają mnie pytaniami, tłumaczę, że na kolonie potrzeba tylko zgodnych i porządnych ludzi, inaczej kolonia upada... hołota więc niech sobie idzie na robotę do plantacyi kawy w S. Paulo.

Pod wieczór około 6-tej dojrzeć już można było wyspy Zielonego Przylądka: na prawo św. Antoniego, na lewo św. Wincentego. Około 7-mej przepływamy blisko pierwszej, o 9-tej zaś, kiedy już było zupełnie ciemno, zawijamy do portu drugiej.

Kapitan jest mocno zgryziony tem, że nie zdążyliśmy przybyć wcześniej, gdyż chodzi mu bardzo o to, aby nabrać węgla jeszcze tej nocy. Sam uznaje jednak, że to się nie da wykonać, jak tylko nazajutrz. A szkoda czasu, gdyż możnaby było wyruszyć jutro od samego rana, gdybyśmy o godzinę wcześniej przybyli za dnia i rozpoczęli ładowanie węgla.

Tymczasem wśród ciemności nadjeżdża mały parowiec od angielskiego składu węgla. Zjawiają się na pokładzie naszym miejscowy urzędowy lekarz, portugalczyk, mały, w bielutkim od stóp do głów mundurze, uprzejmy, rozmowny po portugalsku oraz bardzo młody Anglik, niemówiący po włosku; trawił jednak nieźle międzynarodową sałatę, jaką jest mowa genueńska, w której nie brakuje słów angielskich, a nawet tureckich. Kapitanowi naszemu młokos angielski, który zawiadywał składem węgli, oznajmił, że można natychmiast rozpocząć nabieranie węgla, bo on już wszystko do tego przygotował. Możność roboty w nocy, kiedy wychodźcy

wszyscy będą „spali“, rozjaśniło oblicze kapitana. Rozpromieniony zaczął wszystkich częstować wermutem, winami, owocami i ciastkami; mówił po genueńsku, angielsku, francusku i portugalsku.

Skoro goście odjechali, rozpoczął się niezadługo hałas od windowania węgla. Żóraw parowy skrzypiał przeraźliwie, łańcuchy dźwięczały piekielnie; spać mógł tylko głuchy od urodzenia.

Wyspa S. Antonio ma góry wysokie i żyzne. Wyspa św. Wincentego za to jest skalista i nieurodzajna, ale ważna z powodu stacyi węglowej, trzymanej przez synów Albionu. Anglików na wyspie S. Vincente jest ze 100; reszta ludności, to Portugalczycy lub murzyni, używający portugalskiego języka. Mowa statystyki o Wyspach Zielonego Przylądku brzmi: 3.822 kilometrów kwadr., 147.422 mieszkańców, trochę więcej niż 38 głów na 1 kilometr kwadr.

Sympatycznie przedstawiły się typy portugalskie i murzyńskie: wysocy, szczupli, pracowici, silni, uczynni, serdeczni — i, zdaje się, uczciwi: zyskali serca wychodźców naszych. Ostro pracowali całą noc. Nasi znajdowali, że łatwiej jest z nimi rozmówić się po portugalsku, niż z „talianami“. Gdy od „portugala“, murzyna lub mulata chciano kupić tytoniu, dawał go darmo.

31. sierpnia rano. — Wyjazd z wyspy S. Vincente.

Wyprawiamy mnóstwo listów. Niemal zbankrutowałem na papierze i kopertach, tyle ich odemnie zażądano — sam pisałem całą noc — hałas i nawoływania odbierały mi sen lepiej, niż mocna kawa lub herbata. Oprócz tego drugim trzeba było wciąż pisać listy i adresy. Wystawiłem też komisarzowi rzetelne drugie świadectwo, że wychodźcy nasi są dobrze żywieni i że się z nimi dobrze obchodzi służba wyższa i niższa okrętu.

Nikt nie chce wysiąść na ląd. Wychodźcy bali się, by ich tam nie zatrzymano; mnie zaś wytłumaczono, że wcale nie opłaca się przeprawiać na gołą skałę, by widzieć tylko skład węgla i lichą wioskę. W tem odradzaniu było cokolwiek niechęci ze strony wyższej służby do pożyczenia mi łódki; najęcie jej zaś od Portugalczyków kosztowałoby sumy bajońskie i to monetą portugalską, której nie posiadałem.

Zaopatruję się w banany; smak ich jest słodki. zapach mają cukierków angielskich; owoc to wilgotno mączysty, jak zarobiona

mąka do chleba. Zapoznajemy się z pomarańczami zielonemi, niezbyt smacznemi, oraz z dwiema ogromnemi rybami, które ułowili nasi na wędkę, niemal w chwili wyruszenia statku. Były jadalne i bardzo smaczne, jak mnie zapewniano.

Wyprawiwszy listy do Europy, nabrawszy węgla, zabawiwszy się widokiem chłopaków murzyńskich, zbierających z dna morskiego sztuki monety, które im się rzucało, wyruszamy wolno z zatoczki. Przejeżdżamy obok żaglowca angielskiego, pełnego owiec australskich, który przez cieśninę Magiellańską przybył z Sidney w drodze do Anglii. Była to próba nowej drogi, ażali nie okaże się tańszą i dogodniejszą dla towarów, nie potrzebujących wielkiego pośpiechu, niż dotychczasowa z wygórowaną opłatą przez Kanał Suezki.

Mijamy na środku zatoki małą i dziwaczną skałę zwaną „Merda do diabo“, (łajno czarcie), dźwigającą latarnię morską. Po lewej stronie (wciąż jeszcze na wyspie św. Wincentego) ukazuje się nam „głowa Napoleona I śpiącego“. W pobliżu statku widać olbrzymie jasno szare ryby. Są to rekiny, łakome na białe mięso ludzkie; podobno brzydzą się czarnem murzyńskim.

Zataczamy półkole naokoło wyspy św. Wincentego i kierujemy się na południe. Kapitan zwierza mi się, że dzieją się złodziejstwa na statku i że oddawna musi wciąż walczyć z tymi, którzy bezpośrednio mają do czynienia z materyałami spożywczemi. Chce on mieć namacalne dowody nieuczciwości a mianowicie dokumenta podpisane przez kilku naszych, stwierdzających, że im sprzedano to, czego nie wolno sprzedawać, lecz dawać tylko darmo np. chleb. Dostarczam mu na razie jeden taki dokument.

Emigranci ciekawe legendy opowiadają sobie o szlachcie i księżach. O hr. Stanisławie B. słyszałem opowieść zamaszystą, jak babę zastrzelił, idącą do lasu po drzewo do miejca przez niego wzbronionego. Został skazany za to na 20 lat więzienia, które odsiaduje, ale, jako wielki pan, tylko niektóre dnie w ciągu roku każdego. Nie wolno mu już jeździć na polowania i bryczką po polach i lasach; to też nie widać go tam nigdy; a, choć krótko i wygodnie, jednakże rokrocznie odbywa pokutę, która jest dla niego dotkliwą. Bajdurzyli też o pobiciu rządcy przez małego jurnego chłopaka, którego tenże rządca chciał obić za to, że szedł do lasu ku miejscom zakazanym, a tymczasem sam został obity; o księdzu który rozjeżdżał się, nie dbając o to, że woźnica był przez cały dzień głodny; woźnica więc wpadł na koncept, zaczął

błądzić, sam wyszukiwał wsie i najadał się, a księdza przyprowadzał do wsi, kiedy już nic nie było do jedzenia — ksiądz się pono poprawił z czasem. Nic jadu i walki klas w tych opowiadaniach nie dostrzegłem.

1. września niedziela. — „Tedescos". Opowiadania.

Morze spokojne. Ludzie nasi śpiewają cały dzień pieśni nabożne... i tym razem ładnie. Kapitan z przyjemnością przysłuchuje się chórom i wypytuje, co to za śpiewy. Dostarczam mu 2-go świadka, który kupił od piekarza chleb.

Wznawiają się skargi na złodziejstwa — skradziono bowiem komuś kapelusz i nóż ogrodniczy. Żądają odemnie, abym zarządził rewizyę. Stanowczo odmawiam takiemu żądaniu ze względu na opinię władzy okrętowej o naszych ludziach, opinię dotąd dla nich bardzo przychylną. Neapolitanie przeto skarżą się, że ich upośledzają a popierają „niemców" (Tedescos) — ludzie nasi oceniają to i są z tego dumni, a dobrze to na nich wpływa. Przyznają, że „Taliany" pod Udine i Artegna, są o wiele lepsi i zgodniejsi, niż Neapolitanie. Dowiaduję się, że pod Udine nienawidzą żydów i często którego z nich mieszkańcy tamtejsi zabijają, a mordercy nikt nie wydaje policyi.

Mikulski rozdaje z mego polecenia broszurkę o wychodźctwie. Odczytują z zajęciem opowiadania o Kośmińskim, który na czele oddziału ochotników polskich w 1894 r. zginął w południowej Brazylii w stanie Rio Grande do Sul pod Cruz Alta, zamieszawszy się niepotrzebnie w tamtejszą rewolucyę.

2. września. — Okolica wiecznych deszczów pod równikiem.

Wjeżdżamy do okolic dżdżystych pod równikiem. Istotnie niebo jest pochmurne, deszcz wciąż mży, morze jest niespokojne, kapitan przepowiada, że na widnokręgu ku wschodowi, utworzy się pewnie trąba morska z wiatrów dmących pod kątem prostym do siebie: południowego i wschodniego. Połączenie takie w lejek wód morskich z chmurami nie jest bardzo niebezpieczne dla parowca, gdyż ten, szybką jazdą manewrując, może uniknąć spotkania z trąbą a nadto można łatwo ją rozbić, urządzając silny prąd

powietrza w miejscu najcieńszem lejka; strzela się doń kulą armatnią, próżną i pełną dziur.

Na samym równiku podobno deszcz ustaje. Tymczasem bałwany mniej rzucają statkiem, choć są większe niż te, które były 7 czy 8 dni temu, bo jedziemy prostopadle do nich; nie biją więc w bok statku, bujają nim raczej wzdłuż tyłem i przodem a cokolwiek tylko bokami. Butelki nie przewracają się na stole, jak tydzień temu, jednak wszystkie kobiety cierpią na chorobę morską.

Nieprzyjemność ta, jakiej doznaje się przez kołysanie na morzu leży w tem, że nigdy nie wiesz dokładnie, kiedy i na jaką stronę statku pochyli się podłoga pokładu, na którym stoisz. Odpoczynek byłby znaczny, gdyby np. statek kołysał się regularnie to na prawo to na lewo lub naprzód i w tył — ale tak nigdy nie jest; zawsze podłoga ustępuje wprawdzie przeważnie raz na prawo i po chwili przeważnie na lewo, lecz wciąż z domieszką kierunku innego niespodzianego i niedającego się wcale przewidzieć. Gdy się okręt nachyli na jedną stronę, ma się wrażenie jazdy sanną, w największym pędzie pod górę lub z góry. Wjeżdża się na bałwan i zjeżdża z niego, jakby po jakim pagórku podolskim.

Jedziemy z szybkością 20 kilometrów na godzinę, t. j. 440 na dobę.

3. i 4. września. — Równik. Zaćmienie księżyca. Wyspa św. Piotra i Pawła.

Pod samym równikiem deszcz istotnie zupełnie ustaje, jak to z góry zapowiedziano. Nasi dziwią się, że w południe żadnego cienia niema — istotnie słońce pada zupełnie prostopadle. Ciepło nie jest tak bardzo nieznośne: łatwo się nawet zaziębić wieczorem. gdy zawieje wietrzyk cokolwiek świeższy, jak tego sam doświadczyłem. Słońce w pobliżu równika wschodzi i zachodzi szybko bez przejść żadnych, t. j. bez żadnych zórz i półświateł, oraz wieczornych półcieni. Odrazu w ciągu kilkunastu minut, skoro tylko zaczyna dnieć, pojawia się gwiazda dzienna ponad morzem i w te pędy grzeje a świeci, jak u nas w samo południe.

Między godziną 3 a 4-tą w nocy, (z 3-go na 4-tego września) było jasno na morzu, świecił księżyc w pełni, światło było niebiesko elektrycznej barwy. Naraz około 4-tej zrobiło się cie-

mno. cień naszej kuli ziemskiej pokrył księżyc i nastąpiło zupełne jego zaćmienie. Mniej efektowny był koniec: gęste bowiem chmury pokryły cały obraz, a tymczasem słońce wzeszło, ukryte za niemi.

Mało kto z naszych widział owe zjawisko; jednak znaleźli się tacy, którzy, skoro się dowiedzieli, że będzie zaćmienie, przepędzili noc na jawie i zdołali mnie obudzić na czas.

Bałwany morskie stały się mniejsze, jakby tknięte częściowym paraliżem po zaćmieniu, a niebo wypogodziło się. Dzień zrazu zapowiadał się jasny i pogodny, ujrzeliśmy przez lunetę mały żaglowiec a właściwie górne jego części, gdzieś na krańcu widnokręgu morza, o jakie 8 mil geograficznych, (56 kilometrów). Pomimo tak wielkiej odległości, zamieniliśmy z nim sygnały porozumiewawcze. Dowiedzieliśmy się, że to statek angielski z Australii, oczekiwany w S. Vincente.

Przy średnio pogodnem niebie przejeżdżamy w pobliżu skał, zwanych wyspą św. Piotra i Pawła. Zamieszkują ją tylko fabrykańci guana, ptaki; jest ich tam mnóstwo — cała wyspa wybieliła się skorupami jaj, jajami i guanem. Zdala przez lunetę widać na niej jakby fantastyczne miasto o dziwacznych budynkach śnieżnej białości — zwłaszcza wyróżniają się 2 ogromne skały z szaremi stożkowatemi basztami, niby średniowieczne wieżyce. Wyspa ta leży pod szerokością północną 0·59, oraz długością 29·18 Greenwicha. Na wielu mapach niemieckich naznaczone są 2 wyspy św. Piotra i Pawła — na specyalnej morskiej mapie angielskiej jest tylko jedna pod tą nazwą. Okiem rozróżnić można tylko jedną, a i kapitan okrętu naszego, który często jeździ tamtędy, twierdzi, że to jedna, a nie dwie.

Wieczorem 4-go września przejeżdżamy równik. Przy tej sposobności miały miejsce jakieś ceremonie, figle wśród wychodźców; lecz temu się nie przyglądałem, jako też i tańcom, które odbyły się z udziałem Neapolitańczyków. Kapitan ugaszczał winem i jedzeniem; to też okrzykom i toastom (niech żyje nam, mnohaja lita i evviva), nie było końca.

*

5. września. — Pierwszy dzień na południowej półkuli. Zimno. Wyspa Brazylijska Noronha (wym. Noronia).

Morze po przebyciu równika stało się istotnie tak spokojne, jak wtedy, kiedy dojeżdżaliśmy do Neapolu. Małe bałwanki nie

wpływały na ruch parostatku, który pędził jak po jeziorze, nie chwiejąc się prawie na żadną stronę.

Ponieważ od początku podróży pełnię faktycznie obowiązki sędziego, zgłoszono się do mnie w sprawie sprzeniewierzenia 12 zł̄r. (20 marek). Sprzeniewierca, człowiek zamożny, upierał się, jak muł, przy tem, żeby nie oddać zabranych pieniędzy. Po stosownem z mej strony napomnieniu i groźbie, przez całą dobę się namyślał i ostatecznie wręczył mi złotą monetę, 1 f. szterling angielski. Ze strony pokrzywdzonego radość była głośna, a później wykwitła nawet czuła przyjaźń z krzywdzicielem.

Nudzi mnie trochę wielka uprzejmość kapitana; ile razy zbliżam się do niego w czasie jego obiadu lub śniadania (jadał w innej porze niż wszyscy), częstuje mnie winem i owocami. Żenuje mnie przystępować wtedy do niego: wyglądało bowiem na to, że czynię to, podbudzony apetytem do jego wina i pomarańcz; lecz jest to jedyna chwila, kiedy chętnie wdaje się w pogawędkę, a opowiadał wciąż rzeczy ciekawe. Rozmowa między nami toczy się po francusku. Opowiada np. jak Włosi szybko zmieniają w Brazylii narodowość, zwłaszcza na plantacyach kawy. Przyczynia się do tego to, że właściciele fazend (t. j. większych dóbr ziemskich) i cała ich administracya nie mówią wcale językiem włoskim, lecz pokrewnym portugalskim i zmuszają przez to robotników włoskich do poduczania się portugalszczyzny, a właściwie do psucia sobie tylko języka ojczystego w bardzo krótkim czasie. Kapitan jest świadkiem tego, przewożąc ich wciąż przez ocean.

Choć jesteśmy pod równikiem, gorąco wcale nam nie dokucza... przeciwnie, cierpiemy trochę zimna pod wieczór. Na południowej półkuli jest w pełni zima i od wielkich płaszczyzn argentyńskich, uruguayskich i brazylijskich powstaje wiatr zwany Pampero czyli stepowy (od pampa, step), który obecnie dosięgnął nas pod równikiem przy pochmurnem niebie.

W nocy 5 września przejeżdżamy koło wyspy Fernando Noronha (wym. Noronia): jest to więzienie przestępców politycznych, skazanych na całe życie. Wyspa ta należy do Brazylii — zaledwie ją można było dostrzedz. Odtąd będziemy płynęli wzdłuż brzegów brazylijskich. Lądu wszakże nie widać dotąd z powodu oddalenia i ciemności nocnych.

6. 7. i 8. września. — Pobliże Nowego Świata. Bahia. Wciąż Pampero. Śpiewy ludowe.

Pobliże lądu brazylijskiego zapowiada się morzem burzliwem i zachmurzonem niebem. Pampero sprowadził burzę na morzu — wiele osób, zwłaszcza kobiet, choruje znów na morską chorobę. Co do mnie, to ani razu nie doznałem tej słabości; przeciwnie bujanie statku sprawiało mi przyjemność. Przed drugiem śniadaniem około 10-tej rano czułem zwykle szalony głód — potem walczyłem z sennością i wielkiem zmęczeniem, które ustępowały nieco po południu. Jestto właściwość morza, że z początkiem każdego nieprzyzwyczajonego rozstraja.

Po paru dniach jazdy od wyspy Fernando Noronia dojeżdża się do pobliża stanu i miasta Bahia. Jestto trzeci gród brazylijski co do liczby mieszkańców po Rio de Janeiro i S. Paulo. Liczy ich przeszło 200.000. Pod miastem znajduje się skała olbrzymia, pokryta orchideami.

Bahia — to cudo piękności przyrody; po Hawanie stan bahijski ma najlepsze tytonie na świecie. Nasienie tej rośliny z tamtąd sprowadzają, nie tylko do całej Ameryki południowej, lecz do samej Hawany i Antylów, zastępując niem własny tytoń, który od czasu do czasu niszczeje.

Kapitan opowiada ciekawe szczegóły o Bahijczykach. Podobno nigdzie w Ameryce niema takiej nienawiści do cudzoziemców, jak w sercu tych Brazylijczyków północnych; przytaczał jej liczne przykłady, mało zachęcające do zwiedzenia tego kraju. Rządy, stanowy miejscowy i centralny riożaneirowski, bywają w obec tych niechęci zupełnie bezsilni. Francuz pewien np. miał oddane w przedsiębiorstwo od rządu owego stanu trasę i budowę kolei gdzieś w głębi kraju. Wybrał się tam z paruset ludźmi; lecz wciąż mu ich po trochu zabijano, a ci, których posyłał o pomoc do rządu bahijskiego, nie wracali. Sam z trudem uszedł śmierci. On i paru towarzyszy zaledwie dotarli do miasta Bahii — wszystkich innych wystrzelano. Skarżącemu się francuzowi odpowiedzieli, że rząd nie może narazić się na niepopularność, popierając choćby najsłuszniejszą skargę. Francuz zrujnował się do szczętu.

Mimo tak rozkosznych stosunków w tej części Brazylii, kapitały europejskie i północno-amerykańskie wciąż się tam pchają, zachęcone bogactwami przyrody tamtejszej, szczególnie po bawełnę.

Wiatr Pampero opóźnia naszą podróż. Przed jego nastaniem, t. j. 6-go września jechaliśmy 276 mil morskich (550 kilometrów) na dobę, czyli 11·41 mil morskich (23 klm.) na godzinę, dnia 7-go już tylko 232 (460 klm.) na dobę, przeto jedziemy wolniej o 44 mil (80 klm.) na dobę. (Jedna mila morska wynosi trochę mniej niż 2 kilometry. Dokładnie: 1 mila morska angielska i niemiecka równa się 1854 metrom. 1 mila morska francuska = 1850 metrom. — Kilometr jest cokolwiek mniejszy od wiorsty — dokładnie: wiorsta = 1.069 metrów).

Dnia 8-go września morze najburzliwsze. Trudno chodzić, jeszcze trudniej ubierać się i rozbierać bez potłuczenia się. Osoba leżąca przewraca się z boku na bok i bije o ścianę lub kres łóżka.

Choć przejeżdżamy strony najgorętsze, ciepła niema wcale. Na półkuli południowej, wrzesień jest dokładnie to samo, co na północnej marzec, więc końcem zimy i ledwie początkiem wiosny. Miejsca, gdzie się rodzi Pampero, bywają lodowate; zrywa się on czasem aż od stepów patagońskich, mających klimat Europy północnej.

Miałem sposobność porównywać do woli śpiewy ludowe. Neapolitańskie są bardzo wesołe. Kalabryjskie zaś brzmią dosyć pierwotnie; nic w nich niema rzewnego, choć wydały mi się poważniejsze od neapolitańskich. Już to Włosi pod względem śpiewu górują nad wszystkiemi innemi narodowościami — dla tego też śpiewacy nasi, nawet rusińscy, nie mogli im dorównać.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

12. Juin. 25° 49".

Nous avons en ces jours-ci, un temps d'orage qui a fini par un calme, dont nous nous somes impatienté très fort, puisque nous n'avons fait que quinze lieues dans les 24 heures. Hier, pour la première fois, le soleil s'est couché sans nuages; tu ne saurais te figurer la beauté majestueuse de ce coup d'oeil: L'horison paré des couleurs les plus majestueuses et plus brillantes

---

12. czerwca, 25° 49".

Mieliśmy w tych dniach czas burzliwy, który skończył się ciszą, niecierpliwiącą nas bardzo, ponieważ zrobiliśmy tylko 15 mil w przeciągu 24 godzin. Wczoraj po raz pierwszy słońce zaszło bez chmur; nie mogłabyś sobie wyobrazić majestatycznego piękna tego widoku: horyzont przystrojony kolorami najbardziej majestatycznymi i najświetniejszymi roztaczał przed zdziwionym

étalait à l'oeil étonné des nuances si variees, si agréables, que les plus beaux paysages de Claude Lorrain, des Berghem, des Salvators Rosa — n'eussent été que de faibles esquisses, des traits informes — auprès de ce spectacle ravissant. Combien j'ai désiré, que tu fusses témoin de cette merveille ravissante; l'air était si pur, le firmament si transparent, que la faible lumiere des étoiles perçait déjà au travers, et adoucissait le gris sombre, dont la retraite du soleil avait couvert la terre. La lune brillait dans toute sa beauté, et aucun de ses rayons n'était dérobé à nos yeux. Il est impossible de rien voir de pareil dans nos villes ni même dans nos campagnes d'Europe. La chaleur n'a pas assez de force pour fondre les vapeurs grossieres, qui s'élévent dans la journée: la terre d'ailleurs en exhale plus que l'Océan. Je ne me souviens pas d'avoir vû rien d'aussi parfait à Naples, ni en Sicile. A peine le soleil eut plongé, que la voûte celeste parut éclairée de mille flambeaux: la lune perdit alors un peu de son éclat; elle prit une teinte plus pâle, plus douce — son visage ressemblait à une beauté abbatue que sa langueur rend encore plus intéressante. Les nuages légers formaient mille tableaux agréables: ici on voyait des prairies couvertes de troupeaux, là

---

okiem urozmaicone cienie, tak przyjemne, że najpiękniejsze krajobrazy Claude Lorrain'a, Berghem'a, de Salvators Rosa byłyby tylko słabym zarysem, rysami bez kształtu — przy tem zachwycającem widowisku. Jak bardzo pragnąłem, abyś Ty była świadkiem tego zachwycającego dziwu; powietrze było tak czyste, firmament tak przejrzysty, że słabe światło gwiazd przebijało już przez nie i łagodziło szarą ciemnię, jaką ustąpienie słońca pokryło ziemię. Księżyc świecił w całem swojem pięknie i żaden z jego promieni nie był skryty przed naszemi oczyma. Niepodobna widzieć coś podobnego w naszych miastach — ani nawet w naszych wsiach europejskich. Upał nie ma dość siły, aby stopić niekształtne pary, które podnoszą się podczas dnia; ziemia zresztą wydaje ich więcej, aniżeli ocean. Nie przypominam sobie, abym widział coś równie doskonałego w Neapolu, ani w Sycylii. Zaledwie słońce zanurzyło się, gdy sklepienie niebieskie okazało się oświecone tysiącami pochodni: księżyc stracił wtedy trochę ze swego blasku: przyjął on odcień bledszy, łagodniejszy — oblicze jego podobne było do zgnębionej piękności, którą jej zmęczenie czyni jeszcze bardziej zajmującą. Lekkie chmury tworzyły tysiące przyjemnych obrazów; tu się widziało łąki pokryte stadami,

des rochers garnis d'arbres, un lion couché majestueusement; un charletan, faisant danser un singe, des bachantes echevelées: Je croyais lire l'Arioste, ou suivre Pindare dans ses élans; mon imagination perfectionnait ces ébauches, et rien ne manquait à l'illusion. Ne crois pas, que j'exagére, ou que je me présente des fantômes: les expressions les plus recherchées de la poësie ne sauraient atteindre à cette magnificence de la nature — et les plus chaudes descriptions en seraient toujours de froides copies. Quelle raisonnable melancolie, que de pareilles situations inspirent — mais des reflexions sont actuellement une marchandise, si commune, qu'on ne saurait trop les epargner aux lecteurs; — et de dire tout ce qu'on a senti dans telle ou telle position, c'est donner, pour ainsi dire, la liste des mets, dont on s'est nourri dans la journée... Il s'y trouve rarement des phaisans, ou des ortolans; — et le boeuf y fait une trop grande figure.

Ce 15. Juin.

Je ne puis te dire le degrés de latitude, où nous nous trouvons, n'ayant pu prendre hauteur aujourd'hui, à cause de la

---

tam skały otoczone drzewami, dalej lew majestatycznie leżący; szarlatan każący tańczyć małpie, bachantki z rozpuszczonymi włosami. Zdawało mi się, że czytam Ariosta albo gonię Pindara w jego uniesieniach; wyobraźnia doskonaliła te szkice i nic nie brakowało do złudzenia. Nie myśl, żebym przesadzał albo żebym przedstawiał sobie widma: najbardziej wyszukane wyrazy poezyi nie mogłyby dorównać tej wzniosłości przyrody i najgorętsze opisy byłyby zawsze tylko zimnemi kopiami. Jaką rozsądną melancholią może natchnąć podobna sytuacya, ale rozmyślania są obecnie towarem tak pospolitym, że nie możnaby nadto oszczędzać ich czytelnikom; i powiedzieć wszystko, co się odczuło w takim lub owem położeniu, jest to dać, że tak powiem, spis potraw, któremi się żywiono w przeciągu dnia... Rzadko tam się znajdują bażanty albo trznadle; a wół stanowi tam rzecz nadto ważną...

15. czerwca.

Nie mogę Ci podać stopnia szerokości, gdzie się znajdujemy, ponieważ nie mogłem dzisiaj zrobić wymiaru z powodu spotkania

rencontre d'un vaisseau, que nous avons avaisonné à midi même. Il allait au Port au Prince, et nous avons voulu. Mr. de Fontenille et moi, profiter de cette occasion pour nous rendre plutôt a St. Domingue; et par conséquent, abréger le voyage. Mais sous pretexte de manquer de bois, il s'est défendu de nous prendre à bord. et m'a privé du bonheur de te voir peut-être un mois plutôt. Il s'apelle le Sully, il vient de Nantes — je te le nomme pour que tes imprecations portent plus particulièrement sur lui. C'est la première fois, que ce beau nom sera maudit.

Depuis que je ne t'ai écrit, c'est à dire. depuis trois jours, il est arrivé ici desévenements très importants. D'abord hier nous avons passé le tropique; nous nous trouvons par conséquent sous des Zones différentes. Le soleil darde perpendiculairement ses rayons sur nos têtes à midi; et les clochers de Notre Dame ne sauraient trouvez assez d'ombre pour couvrir la tête d'une fourmi. Je ne sais. si c'est la roue torride — ou quelque autre cause, qui a échauffé la tête du pauvre Richard, de manière à me manquer par des impertinences réiterées.

J'ai été obligé de le faire mettre aux fers, où il est depuis deux jours. Il a en la bêtise de casser hier son cadenat, et faire

---

się z okrętem, który spostrzegliśmy o samem południu. Udawał się on do Port au Prince i chcieliśmy, pan Fontenille i ja, skorzystać z tej sposobności, aby udać się wcześniej do San Domingo, i wskutek tego skrócić naszą podróż. Ale pod pozorem, że mu brakło drzewa, wzbraniał się wziąć nas na pokład i tym sposobem pozbawił mię szczęścia zobaczenia Cię, być może, miesiąc wcześniej. Nazywa się on Sully; jedzie z Nantes. Nazyzywam Ci go dlatego, aby Twoje złorzeczenia padały wyłącznie na niego. Będzie to piękne imię po raz pierwszy przeklętem.

Od kiedy do Ciebie nie pisałem, t. j. od trzech dni, wydarzyły się tu bardzo ważne zajścia. Najpierw przebyliśmy zwrotnik. wskutek czego znajdujemy się w strefach różnych. Słońce rzuca w południe promienie pionowo na nasze głowy i dzwonnice Panny Maryi nie mogłyby dostarczyć dość cienia, aby okryć głowę mrówki. Nie wiem, czy to strefa gorąca, czy jakaś inna przyczyna, która rozpaliła głowę biednego Ryszarda do tego stopnia, że uchybiał mi ciągłemi niegrzecznościami.

Byłem zmuszony kazać go okuć w kajdany, w których się znajduje od dwóch dni. Wczoraj posunął swoją głupotę do tego

mine de se revolter: Son sort n'a fait qu'aggraver depuis; et je suis obligé de servir malgré moi. Outre l'incommodité, d'être sans domestique. J'ai en encore le déplaisir de glisser avant hier et de me donner un coup très fort à la tête: cela n'a pas laissé de m'allarmer, la chute ayant été très violente. Mais comme il n'y a aucun mal visible, et que je ne sens plus de douleurs, je suis plus tranquille sur les suites. Il fallait sans doute des evénements pour faire diversion à l'ennui de notre voyage; mais j'aurais voulu, qu'ils ne partassent pas tous sur moi. Je commence pourtant à être beaucoup moins sensible aux contrarietés, et je crains que tu ne voies en moi un sage parfait à mon retour. Je te recomande en attendant de l'être Toi-même, et de te souvenir, que tu as à me consoler de tous les malheurs de ma vie passée, et que c'est du jour de notre connaissance, que je dois dater le bonheur de ma vie. Adieu, ma très divine amie: Je t'embrasse cent mille fois.

---

stopnia, że rozbił kłódkę i udawał buntującego się: z tej przyczyny los jego pogorszył się; a ja jestem zmuszony usługiwać sobie pomimo woli. Prócz niewygody znajdywania się bez lokaja, miałem jeszcze przykrość, że pośliznąłem się przedwczoraj i uderzyłem się bardzo silnie w głowę: wypadek ten przeraził mnie srodze, gdyż upadek był bardzo gwałtowny. Ale ponieważ niema żadnej widocznej skazy i że już nie czuję bolu. jestem spokojniejszym co do następstw. Potrzeba było bez wątpienia wydarzeń, aby rozerwać nudę naszej podróży, ale wolałbym, aby nie wszystkie spadły na mnie. Zaczynam jednakże być znacznie mniej czuły na przeciwności i boję się, abyś za moim powrotem nie ujrzała we mnie doskonałego mędrca. Zalecam Ci tymczasem, abyś sama była taką i abyś pamiętała, że do Ciebie należy pocieszyć mię po wszystkich nieszczęściach mego przeszłego życia i że od dnia naszej znajomości ma się datować szczęście mego życia. Żegnaj moja bardzo boska przyjaciółko. Całuję Cię sto tysięcy razy.

17. Juin. 19° 55".

Je vois avec chagrin, que je ne suis pas fait pour la mer, je croyais, ma foi, être bon à tout. Il ne s'est point passé de jour depuis mon embarquement, que je n'aie souffert, plus ou moins, mais depuis trois jours, je suis tout à fait malade, quoiqu'il fasse très beau, et que la mer ne soit pas grosse; Les yeux la tête. l'estomac. tout cela est dérangé. Il n'y a que mon coeur. dont je suis content; il est toujours plein de tes charmes, de tes vertus, et d'amour pour toi. Ton image lui est sans cesse présente. et tu en fais toujours les plus cheres delices, tandisque tu le soupçonnes peut-être d'ingratitude ou que tu l'accuses de tiedeur. Julie! Je veux, qu'en lisant ceci, tu te repentes, et que ta tendresse me venge de ton injustice. Je veux, que mon bonheur croisse à mesure de tes fausses allarmes; et puis que tu as osé descendre jusqu'aux soupçons, tu m'éleves au comble de la felicité, par la plus complette persuasion. C'est vers ce bonheur, que tous mes regards se tournent actuellement. C'est sur cet avenir charmant, que mes yeux sont attachés; et quand je pense, qu'à mon retour je te retrouverai aussi tendre, aussi ai-

---

17. czerwca. 19° 55".

Widzę z przykrością, że nie jestem stworzony dla morza, a myślałem na prawdę, że jestem do wszystkiego. Nie przeszedł ani jeden dzień, od chwili, kiedy wsiadłem na okręt, abym nie był cierpiącym mniej lub więcej, ale od trzech dni jestem zupełnie chory, chociaż pogoda jest piękna, bardzo piękna, i morze niewzburzone. Oczy, głowa, żołądek, wszystko to jest rozstrojone. Jedno tylko serce, z którego jestem całkiem kontent. Ono jest zawsze pełne Twoich wdzięków, Twoich cnót, i miłości dla Ciebie. Twój obraz jest mu ciągle obecny i stanowisz jego najdroższą rozkosz — podczas, gdy Ty podejrzywasz je, być może, o niewdzięczność lub obwiniasz o oziębłość. Julio! ja chcę, abyś czytając to, żałowała, uczuła skruchę i aby Twoja czułość pomściła mię za Twą niesprawiedliwość. Ja chcę, aby Twoje szczęście rosło w miarę Twoich fałszywych obaw; a ponieważ śmiałaś zejść aż do podejrzeń, abyś mnie podniosła do szczytu szczęśliwości przez zupełne zaufanie. Ku temu to szczęściu, wszystkie moje spojrzenia zwracają się obecnie. Oczy moje wpatrują się w tę zachwycającą przyszłość i gdy pomyślę, że za powrotem odnajdę Cię

mable, aussi passionnée, que tu l'as été pour moi, je suporte tout avec la plus grande resignation; et je chanterais, — si j'avais de la voix: „Allons, allons j'ai du courage; le travail ne me fait pas peur". Quoique les vents nous servent à souhait et que nous avançons très promtement, je suis cruellement impatienté de notre maniere de vivre. On ne fait aucun exercice: on respire souvent un air infecte; on se nourrit des choses malsaines. Ce matin, pour la prèmiere fois, on a pris quatre bonites; c'est une espèce de thon, d'un goût assez mediocre, mais d'une bien belle apparence. Ce poisson est sans écoille, mais vêtu d'une tres belle robe, bleu et argent, qui au soleil fait un effet merveilleux. Tu vois bien, que je te mets au fait de tous nos divertissements — et de nos chagrins; et que tu trouveras ici un registre exact de mes moindres actions. Comme tu es ma Divinité, il faut que tu saches tout ce que je fais, et en pensant que mon but principal est — de te plaire, et de te rendre heureuse, tu reconnaitras aisément le resultat de mes pensées.

---

równie czułą, równie uprzejmą, równie zakochaną, jak nią byłaś pierwej dla mnie, znoszę wszystko z największem poddaniem się; śpiewałbym gdybym miał głos: „Dalej, dalej mam odwagę; praca nie przestrasza mię". Chociaż wiatry służą nam według życzenia i chociaż postępujemy bardzo szybko, jestem okrutnie zniecierpliwiony naszym sposobem życia. Nie robimy żadnego ćwiczenia, oddychamy często powietrzem cuchnącem, żywimy się rzeczami niezdrowemi. Dziś rano po raz pierwszy złapano cztery bonity; jest to rodzaj thona, miernego smaku, ale bardzo pięknej powierzchowności. Ryba ta jest bez łuski, ale ubrana w bardzo piękną błękitną i srebrną suknię, która na słońcu robi cudny efekt. Widzisz więc, że wtajemniczam Cię we wszystkie nasze rozrywki i zmartwienia i że znajdziesz tu dokładny spis najmniejszych moich czynności. Ponieważ jesteś moim bóstwem, potrzeba abyś wiedziała wszystko, co ja robię i myśląc, że głównym celem moim jest podobać się Tobie i uczynić Cię szczęśliwą, poznasz z łatwością wynik moich myśli.

19. Juin, Jeudi.

Je suis bien chagriné, quand je pense, que tu seras trois mois sans avoir de mes nouvelles; et j'ai bien peur, que tu ne me rendes trop tard justice sur mes sentiments. Entourée comme tu es, de gens, qui ne pensent qu'à me nuire, comment pourras-tu résister? Ta facilité, ta bonté serviront même à la rendre injuste; et personne ne se trouvant là pour défendre mes droits, je ne manquerai pas à être condammé. Puissent du moins les décrets n'être pas irrevocables et ton dernier arrêt suspendu! — Je te connais assez pour croire, que tu ne te pardonnerais jamais une légèreté, commise par trop de précipitation dans ta manière passionée de juger ma conduite; mais à quoi serviraient ces remords tardifs? — à troubler seulement tes plaisirs pour un instant et à justifier peut-être à tes yeux de nouveaux egarements. Si Julie m'est inconstante, elle le sera pour dix autres... Non, que je crois valoir mieux, mais parceque ma situation, les circonstances, mon amour vif et vrai divent me garantir son coeur et que la raison même doit la porter nécessairement à être persuadée, que

---

19. czerwca, czwartek.

Jestem bardzo zmartwiony, gdy pomyślę, że przez 3 miesiące nie będziesz miała wiadomości o mnie; bardzo się boję, że nie oddasz mi sprawiedliwości co do moich uczuć, jak tylko za późno. Otoczona ludźmi, którzy myślą tylko, aby mi zaszkodzić, jakże mogłabyś się oprzeć? Twoja łatwość, Twoja dobroć, posłużą właśnie, aby uczynić Cię niesprawiedliwą; a ponieważ nikt się tam nie znajdzie, aby bronić moich spraw, będę musiał koniecznie być skazanym. Oby przynajmniej Twoje wyroki nie były nieodwołalnemi i Twoja ostatnia decyzya została w zawieszeniu. Znam Cię dosyć, aby wierzyć, że nie przebaczyłabyś sobie nigdy lekkości, popełnionej przez zbytek pospiechu w Twoim namiętnym sposobie sądzenia mego postępowania; ale do czegoby posłużyły te spóźnione wyrzuty? Do zmącenia tylko Twoich przyjemności na chwilę i do usprawiedliwienia, być może, w Twoich oczach nowych błędów. Jeżeli Julia jest mi niestałą, będzie ona taką dla dziesięciu innych... Nie, żebym sądził, że jestem wart więcej, ale ponieważ moje położenie, okoliczności, moja miłość żywa i prawdziwa, powinny mi zapewnić jej serce i że sam rozsądek powi-

personne autre ne pourra faire son bonheur, et l'assurer. Elle a déjà senti des passions, elle a eu des liaisons plus ou moins durables; — il est à croire que celles qui pourront suivre, ayant bien plus de désagrements, ne lui feront sûrement pas éprouver ces transports, cette ivresse, que les premières lui ont procurés. Cette personne, qui a du être destinée à devenir la source premiere et unique du bonheur d'un être honnête et sensible, ne sera tout au plus que la cause de quelques plaisirs passagers, qui seront effacés, au moment même d'être goutés.

Je ne veux point prodiguer ici les serments, mais je puis te le dire en honneur que ce n'est pas la sotte vanité de fixer un coeur, qui me fait tenir ce langage, mais le prix que je mets au tien, et l'espoir d'une félicité durable et parfaite. Il sera inutile, si ce journal arrive avant le coup porté. Je te considere assez pour ne pas douter un instant qu'à la lecture des premières pages, tu ne me rendes toute ta tendresse — si elle n'est qu'altérée ou suspendue: mais si malheureusement elle est détournée sur un autre objet, tu pleureras, mais tu me laisseras malheureux et ce qui pis est tu le seras le reste de.ta vie. Je ne puis envisager sans une extrême emotion, la possibilité de cet evénement; et les

---

nien usposobić ją do przekonania, że nikt inny nie będzie mógł stworzyć jej szczęścia i je zapewnić. Ona już odczuwała miłości, miała już związki mniej lub więcej trwałe, można więc sądzić, że te, które mogą nastąpić, mając o wiele więcej przykrości, nie dadzą jej uczuć tych uniesień, tych upojeń, których pierwsze jej dostarczyły. Ta osoba, która musiała być przeznaczona, aby być pierwszem i jedynem źródłem szczęścia istoty uczciwej i czułej, będzie tylko co najwyżej przyczyną kilku przyjemności przejściowych, które zostaną zatarte w samej chwili ich doznawania.

Nie chcę wcale posługiwać się tu przysięgami, ale mogę Ci powiedzieć na honor, że to nie jest głupia próżność ustalenia pewności serca, która mi każe mówić w ten sposób, ale cena, którą przykładam do Twojego serca i nadzieja szczęśliwości trwałej i doskonałej. Będzie to daremnem, jeżeli dziennik ten dojdzie przed ciosem zadanym. Szanuję Cię dosyć, aby nie wątpić ani na chwilę, że czytając pierwsze jego karty, oddasz mi całą swoją czułość, jeżeli ona jest tylko zmniejszoną albo zawieszoną; ale jeżeli na nieszczęście ona jest odwróconą na inny przedmiot, Ty będziesz płakać, ale mnie zostawisz nieszczęśliwym, a co gorsza, będziesz nią sama przez resztę swego życia. Nie mogę sobie wyobrazić

faibles doutes, qui s'elèvent dans mon coeur la-dessus, sont des traits perçants, qui me blesseront sans cesse, jusqu'à ce que je n'aie des preuves incontestables de l'amour, que tu me dois et que tu m'as juré.

Je t'avais écrit ce matin, mais en revoyant mes papiers, l'envie de causer avec toi me reprit. Ne m'en tiens aucun compte! Qu'aurais-je à faire de mieux que de m'entretenir avec ma très chere. Il est vrai, que je viens tout dire à ton portrait, que je quitte dans l'instant, mais il en a agi très incivilement avec moi, et je n'ai pu obtenir de lui un mot de reponse; et comme je voulais t'entendre absolument, je me suis jetté à lire les lettres, et cela m'a fait passer quelques moments heureux. Mon Dieu, que n'aurais-je pas donné pour pouvoir t'embrasser, te baiser, te sucer, à chaque expression tendre, que j'y trouvais... Mais que je suis loin de ce bonheur! Et quand le retrouverai-je? Il faut faire quatre mille lieues, s'ennuyer dans cent endroits, supporter des fatigues sans nombre, courir des dangers, avant de me revoir auprès de mon amour. Conçois-tu le plaisir que j'aurai à mon retour et que je sentirai ma bouche contre la tienne, et mes

---

bez nadzwyczajnego wzruszenia możliwości tego wypadku; słabe wątpliwości, które podnoszą się w mym sercu w tym względzie, są przenikającymi ciosami, które będą mię razić bez ustanku, póki nie będę miał niezaprzeczalnych dowodow miłości, jaką mi winnaś i którą mi poprzysięgłaś.

Pisałem do Ciebie dziś rano, ale spojrzawszy na moje papiery, ochota rozmawiania z Tobą ogarnęła mnie na nowo. Nie rachuj mi tego wcale! Cóż miałbym do czynienia innego, jak rozmawiać z moją ukochaną. Co prawda przychodzę wszystko mówić Twemu portretowi, który przed chwilą opuściłem, ale on postąpił ze mną bardzo niegrzecznie i nie mogłem otrzymać od niego ani słowa odpowiedzi, a ponieważ chciałem koniecznie Cię usłyszeć, rzuciłem się do czytania Twoich listów i to mi pozwoliło spędzić kilka chwil szczęśliwych. Mój Boże, czegobym ja nie dał, abym mógł ucałować Cię, uściskać Cię, wycisnąć pocałunek za każdym czułym wyrazem, który tam znalazłem... ale ja jestem daleki od tego szczęścia! I kiedyż je odnajdę? Potrzeba zrobić cztery tysiące mil, nudzić się w stu miejscach, znosić niezliczone trudy, narażać się na niebezpieczeństwa, nim ujrzę się znowu przy mojem szczęściu. Czy wyobrażasz sobie przyjemność, którą za moim

bras autour de ton corps; que je sentirai battre ton coeur, et des larmes de joie couler sur mes joues. Suis-je bien loin de ce moment? Oh! Oui. Combien? Un mois? Deux mois? — Eh non malheureusement; c'est presque le double. Il faut avaler ce calice amer, et desirer que je sois seul puni de mon imprudence.

Je ne puis pourtant me plaindre des vents: il nous sont, ou ne peut pas plus, favorables: il s'epoumonent à souffler du bon côté, apparemment pour nous recompenser du temts qu'ils nous ont fait perdre. Je compte, que vers le milieu de la semaine prochaine, nous serons débarqués à la Martinique; Le premier vaisseau qui en partira sera chargé de mes depêches... Puisse-t-il voguer heureusement et apporter à ma chere amie des nouvelles d'un être, qui ne respire qu'après le moment d'etre auprès d'elle.

22. Juin.

Il y a aujourd'hui deux mois, que je t'ai quitté, et mon coeur, dans cet intervalle, n'a point à se reprochez de t'avoir

---

powrotem mieć będę i czuć będę, z ustami przy Twoich ustach i ramionami w około twego ciała, gdy będę czuć bicie Twego serca i gdy łzy radości popłyną na moich policzkach? Czy jestem bardzo daleki od tej chwili? O tak! Ile? Miesiąc? Dwa miesiące? O nie, na nieszczęście; prawie 2 razy tyle. Potrzeba wypić ten gorzki kielich i pragnąć, abym ja tylko był ukarany za moją nieostrożność.

Nie mogę jednakże skarżyć się na wiatry, one są nam, jak nie mogą być, pomyślniejsze: wysilają się, aby dąć z dobrej strony, prawdopodobnie, aby nam wynagrodzić czas, który przez nie straciliśmy. Rachuję, że koło środka przyszłego tygodnia wylądujemy w Martynice. Pierwszy okręt, który stamtąd odejdzie, będzie obciążony moimi depeszami... Oby one mogły płynąć szczęśliwie i przynieść mojej drogiej przyjaciółce wiadomości od istoty, która tylko wzdycha za chwilą znalezienia się przy niej.

22. czerwca.

Dziś 2 miesiące, jak Cię opuściłem i serce moje w tym przeciągu czasu nie ma sobie do wyrzucenia, żeby choć na

oublié un instant. Je n'ai jamais désiré que les jours s'avançassent rapidement, et qu'une partie de ma vie disparaisse sans laisser aucune trace dans ma memoire; mais maintenant je voudrais, que le temps que j'ai à passer loin de Julie, fut reserré en un seul point; et que le bonheur de revenir près d'elle, se trouvat pour ainsi dire, au bout de mes désirs. Mon amour seul égale mon impatience; et je ne pense jamais sans un vrai chagrin, et au temps et à la distance qui nous separent; mais la recompense, qui m'attend, est au-dessus du temps et de mes maux. C'est une perspective charmante au bout d'un chemin triste et penible.

Plus nous approchons de notre isle, plus le temps traine et s'allonge. Vendredi midi nous étions en latitude, et nous courons dessus depuis 48 heures. toujours entre l'espérance de voir cette terre promise. et le chagrin de ne pas la trouver. Nous passerons encore, quelques jours ennuyeux et quelques nuits désagréables. Il pleut continuellement, le temps est couvert; et l'on est obligé de diminuer les voiles toutes les fois, de crainte d'échouer: ces manières allongent le voyage et inpatientent beaucoup. J'ai passé toute la journée d'hier à jouer aux échecs — et toute la nuit sans dormir. Il n'y a pas moyen de fermer l'oeil dans une

---

chwilę zapomniało o Tobie. Nigdy nie pragnąłem, aby dnie płynęły szybko i żeby część mego życia znikła. nie pozostawiając żadnego śladu w mojej pamięci, ale teraz chciałbym, aby czas, który mam przepędzić zdala od Julii, został ściągnięty do jednego punktu i żeby szczęście powrócenia do niej znalazło się, że tak powiem, przy końcu moich życzeń. Moja miłość jedna dorównuje mojej niecierpliwości; nigdy nie myślę bez prawdziwego zmartwienia o czasie i odległości, która nas dzieli, ale wynagrodzenie, które mię czeka. przechodzi czas i moje męczarnie. Jest to perspektywa zachwycająca przy końcu drogi smutnej i uciążliwej. Im więcej się zbliżamy do naszej wyspy, tem więcej czas ciągnie się i przedłuża. W piątek o południu byliśmy w szerokości i odtąd biegniemy po niej 48 godzin zawsze między nadzieją zobaczenia tej ziemi obiecanej i przykrością nie znalezienia jej. Przepędzimy jeszcze kilka dni nudnych i kilka nocy nieprzyjemnych. Deszcz pada ciągle, czas jest posępny i wciąż jesteśmy zmuszeni ściągać żagle z obawy, aby nie osiąść na mieliźnie; tę czynności przedłużają podróż i niecierpliwią bardzo. Cały dzień wczorajszy spędziłem na graniu w szachy, a całą noc bezsennie. Nie ma sposobu, aby zmrużyć oko w pokoju, gdzie spi siedm osób —

chambre où couchent sept personnes — dont la moitié a peur. Ces craintes quelquefois comiques me donnent souvent le moyen de rire, au milieu de mon impatience — et du regret, que je ne peux trouver le sommeil, et goûter le seul plaisir, dont un ennuyé soit susceptible.

24. Juin, jour de la St. Jean.

Hier, au soleil couchant, on eut quelques soupçons de la terre; et le capitaine fit mettre le vaisseau à le cape. La brise était très forte, et nous fumes séconés toute la nuit d'une terrible manière. Les gens, qui n'ont jamais éprouvé de grosse mer, ne sauraient se former une idée de cette manière de ballotement. Lits, chaises, tables, coffres, tout danse et culbute, et ce choc continuel produit un tintamarre, un bruit si singulier, que cette situation serait plaisante, si elle ne durait pas. Quoiqu'il en soit, nous passâmes ainsi toute la nuit moitié à rire, moitié à nous impatienter: il ne fut pas question de dormir, le sommeil une fois chassé revient difficilement et Morphée sacrifié à Neptune,

---

z których połowa lęka się. Te obawy, niekiedy konieczne, dają mi sposobność uśmiania się. wśród mojej niecierpliwości i żalu, że nie mogę zasnąć, a tem samem skosztować jedynej przyjemności, możliwej dla człowieka znudzonego.

24. czerwca, dzień św. Jana.

Wczoraj o zachodzie słońca miano pewne podejrzenie, że ziemia blizko: kapitan kazał okręt obrócić przodem. Wiatr był bardzo silny, całą noc kołysaliśmy się w straszny sposób. Ludzie, którzy nigdy nie znajdywali się na wzburzonem morzu, nie potrafiliby sobie wyobrazić tego rodzaju podrzucania. Łóżka, krzesła, stoły, kufry, wszystko skacze i przewraca się i to uderzenie ciągłe powoduje stukot, hałas tak szczególny, że położenie byłoby śmiesznem, gdyby nie trwało długo. Bądź co bądź, przepędziliśmy w ten sposób całą noc na śmianiu się i na niecierpliwieniu się. O spaniu nie było mowy, sen raz odegnany powraca z trudem, a Morfeusz poświęcony Neptunowi opuścił nas zupełnie. Ale

nous abandonna tout à fait. Mais à la pointe du jour, quand nos forces et notre patience etaient à bout on cria: Terre, du haut des mâts. Ce bruit agréable nous fit oublier toutes nos peines. D'abord on ne voyait qu'un nuage fixe et épais, mais dans une demi-heure nous parvinmes à distinguer les maisons, les arbres, et même les habitants. L'isle du côté de la basse pointe, et de celle de Macouba offrait des paysages agréables et des sites pittoresques: Du haut des mornes tombent des cascades sans nombre, qui vont se précipiter dans la mer; les plantations disposées en amphithéâtre contrastent très bien avec les rocs steriles, dont ils sont couronnés. Parmi les arbres, dont la plaine est parsemée, on aperçoit de loin le palmiste; sa tête touffue et majestueuse se balonce sur un corps droit et élancé. Il a d'ailleurs un air de propreté, de grâce et de grandeur, qui le font distinguer bien facilement du commun. C'est une espèce de palmier, dont la tige, toujours droite et unie et luisante, n'a ni branches, ni noeuds jusqu'au sommet; là plusieurs rameaux garnis de feuilles de 9 à 10 pieds de long, lui forment un parasol ou une espèce de couronne. C'est un arbre d'un effet merveilleux; et sa vue m'a fait grand plaisir. A neuf heures nous doublâmes „la pointe

---

z brzaskiem dnia, gdy nasze siły i nasza cierpliwość były wyczerpane, zawołano: Ziemia, z wysokości masztów. Ten wykrzyk przyjemny kazał nam zapomnieć o wszystkich naszych trudach. Z początku widziało się tylko nieruchomą i gęstą chmurę, ale w pół godziny zdołaliśmy rozróżnić domy, drzewa a nawet mieszkańców. Wyspa ze strony niskiego punktu i ze strony Macoub'a przedstawiała widoki przyjemne i położenia malownicze. Z wysokości wzgórz spadały mnogie kaskady, które wpadały do morza; plantacye urządzone amfiteatralnie stanowiły silny kontrast z nieurodzajnemi skałami, któremi są ukoronowane. Pomiędzy drzewami, któremi równina jest zasiana, spostrzegano z oddali palmę; jej gęsta i majestatyczna głowa kołysze się na ciele prostem i wysmukłem. Ma ona zresztą wygląd czysty, pełen wdzięku i wielkości, który ją łatwo wyróżnia od pospolitych. Jest to gatunek palmy, której łodyga, zawsze prosta, równa i błyszcząca nie ma ani gałęzi ani sęków do samego wierzchołka; tam kilka gałązek, okrytych liśćmi od dziewięciu do dziesięciu stóp długości, tworzy dla niej parasol albo rodzaj korony. Jest to drzewo robiące cudne wrażenie, jego widok sprawił mi wielką przyjemność. O dziewiątej godzinie opłynęliśmy „szczyt mowcy".

du precheur". Pour vous rendre ces endroits plus intéressants, vous pouvez les voir sur la carte de la Martinique à l'atlas de l'abbé Raynal. Et je comptais mouiller à St. Pierre sur les 2 ou 3 heures de l'après midi mais comme on ne peut y entrer qu'en louvoyant et que notre vaisseau marche très-mal de cette manière, nous nous sommes vûs repoussés par le vent de terre, et maintenant (à trois heures) nous en sommes plus loin, que nous n'en étions à midi. Je crois, que nous coucherons encore cette nuit à bord — et j'en suis pour ma toilette et mes espérances. S'il y a moyen de me rendre à terre dans un canot, j'en profiterai, et je te l'ecrirai demain.

25. Juin, à 10 heures.

Cela n'est-il pas bête? Cela n'est-il pas ridiicule? Cela n'est-il pas pitoyable? Nous ne nous somes pas couché de la nuit — et nous voilà encore à la même place a 3 heures et demie après minuit. Les courants nous emportaient droit contre un rocher qu'on nomme la Perte (quoique sûrement nous n'étions

---

Ażeby wam uczynić to miejsce bardziej zajmującem, możecie je widzieć na mapie Martyniki w atlasie księdza Raynal. Miałem nadzieję wylądować w Saint-Pierre, około drugiej lub trzeciej godziny po południu. Ale ponieważ dopłynąć tam można tylko jednym lub drugim bokiem i że nasz okręt płynie w ten sposób bardzo źle, zostaliśmy odepchnięci przez wiatr od ziemi i obecnie (o trzeciej godzinie) jesteśmy od niego dalej, aniżeli byliśmy o połuduiu. Sądzę, że tę noc przepędzimy jeszcze na statku — i stracona moja toaleta i moje nadzieje. Jeżeli będzie sposób udania się na ląd w łódce, skorzystam z niego i napiszę Ci o nim jutro.

25. czerwca, 10 godzina.

Czy to nie jest głupie? Czy to nie jest śmieszne? Czy to nie jest godne politowania? Nie kładliśmy się przez całą noc — i znajdujemy się na tem samem miejscu o pół do czwartej po północy. Prądy unosiły nas prosto na skałę, którą nazywają Zguba (chociaż z pewnością nie byliśmy tam, aby w nie wje-

pas là pour les enfiler). L'équipage est harassé: la chaleur est excessive, et on n'a pas discontinué de manoeuvrer depuis 24 heures.

à 1 h heure, à la rade de St. Pierre, isle de Martinique.

Nous voilà enfin mouillés. Nous avons déjà vingt negres à bord: le navire entouré de pirogues remplies de toute sorte de fruits. J'en ai goûté avec avidité de toute sorte d'espèces, mais je les ai trouvé très-mediocres. Il n'y a que des Ananas qui me plaisent. — Les carossols, les figues, les bananes, les avocats, les abricots, tout cela me parait immangeable.

Nous sommes à 20 pas du Triton, vaisseau de 64 tonneaux, commandé par Mr. de Tungor qui doit partir bientôt pour la France. Je t'ecrirai par cette occasion: j'espére pourtant qu'il y en aura d'autres plus prochaines. Nous allons descendre dans l'instant à terre ;on nous dit que nous y verrons le V-te de Laval.

żdżać). Załoga iest zmordowana: upał nadzwyczajny i nie przestaliśmy lawirować od 24 godzin.

1 godzina, w przystani św. Piotra, wyspa Martynika.

Oto wreszcie wylądowaliśmy. Już mamy dwudziestu murzynów na pokładzie; statek nasz otoczony łodziami, napełnionemi różnymi rodzajami owoców. Skosztowałem z chciwością wszystkich gatunków, ale znalazłem je bardzo mierne, jedne tylko ananasy smakują mi. Carossole, figi, banany, morele, wszystko to wydało mi się niemożliwem do jedzenia.

Jesteśmy o 20 kroków od Tritonu, okrętu o 64 beczkach, dowodzonego przez pana de Tungor, który ma wkrótce odpłynąć do Francyi. Napiszę do Ciebie przez tę okazye. Mam jednak nadzieję, że nadarzą się inne okazye prędzej.

Natychmiast wysiadamy na ziemię; mówią nam, że zobaczymy tam V-te de Laval.

26. Juin, à St. Pierre.

Je suis très content de me trouver à terre; tout mal qu'on y soit on y est toujours mieux que dans un vaisseau. La nouveauté des objets, que l'on rencontre d'ailleurs dans ce pays-ci, a une espèce d'attrait, qui satisfait, pour un instant la curiosité. L'endroit où nous sommes, est un bourg bâti le long de la mer, et acculé contre une montagne, la vue, par conséquent, en est très bornée. En y arrivant, nous avons été avec Fontenille, nous promener sur le port. J'y ai trouvé peu d'activité: il est vrai qu'il n'y a qu'une trentaine de vaisseaux en rade. Il y en a un, qui est arrivé hier du Senegal et porte plus de 500 negres. On a débarqué ces malheureux en notre presence. Ce sont tout de tres beaux hommes, et à la fleur de l'âge: Ils m'ont paru être — on ne peut pas plus, gais et contents. Vraiment la nature humaine est trop inconséquente. Nous ne sommes entourés que de visages noirs ou jaunes; ton goût pour ceux-ci aurait de quoi se satisfaire — car la couleur du chev. de Narbone serait alors l'albatre à tes yeux. A notre retour à la maison nous avons fait un souper agréable, sous un bosquet d'orangers. La

---

26. czerwca, w St. Pierre.

Jestem bardzo zadowolony, że znajduję się na ziemi; jakby się na niej nie czuło źle, zawsze się jest lepiej jak na okręcie. Nowość przedmiotów, które się spotyka zresztą w tym kraju, ma rodzaj uroku, który zadawalnia na chwilę ciekawość. Miejsce, gdzie się znajdujemy, jest miasteczkiem, zbudowanem wzdłuż brzegu morza i opartym o górę, to też widok z niego jest bardzo ograniczony. Przybywszy tu, poszliśmy z Fontenillem na przechadzkę w porcie. Znalazłem tam mało ruchu, prawda i to, że jest tylko około trzydzieści okrętów w przystani. Jeden z nich, który przybył wczoraj z Senegalu, mieści więcej jak 500 murzynów. Wysadzono tych nieszczęśliwych w naszej obecności. Wszyscy oni są ludźmi bardzo pięknymi, i w kwiecie wieku. Wydali mi się bardzo weseli i zadowoleni. Rzeczywiście natura ludzka jest zanadto niekonsekwentną. Jesteśmy otoczeni tylko twarzami żółtemi albo czarnemi; twój gust do żółtych miałby się czem zadowolić — ponieważ płeć pana de Narbonne byłaby wtedy w Twoich oczach biała jak alabaster. Powróciwszy do domu, zjedliśmy przyjemnie kolacyę w pomarańczowym gaju. Dom, gdzie się znajdujemy,

maison où nous sommes, a un petit jardin où il n'y a que d'orangers, des citroniers, des grenades, des ananas, du jasmin. Tu n'as aucune de ces raretés dans le tien, mais tu y es toi-même, cher objet de mon amour! Et qu'est-ce que toutes les delices de la terre, à côté du bonheur d'être couché près de toi sur ce gazon, tant de fois témoin de mon bonheur.

Ce matin, en me levant, j'ai été me fourrer dans un bain froid. C'est ici un grand plaisir et une nécessité indispensable. La chaleur y est très violente. On fonderait sans cette ressource. Celle d'hier du moins a été charmante. Je te quitte pour aller voir l'intendant de l'isle pour qui j'ai une lettre.

Cette partie du journal a été envoyée par le vaisseau „La Terre" du Havre le 27. Juin.

J'ai fait partir hier par un vaisseau du Havre, nommé la Terre, un cahier de 30 pages d'écriture, qui renfermait un jour-

---

posiada mały ogród, w którym są tylko drzewa pomarańczowe, cytrynowe, granaty, ananasy i jaśmin. Ty nie masz żadnej z tych rzadkości w Twoim, ale Ty nie jesteś sama, drogi przedmiocie mojej miłości! A cóż znaczą wszystkie rozkosze ziemi, w porównaniu ze szczęściem leżenia przy Tobie na tym trawniku, który tyle razy był świadkiem mego szczęścia. Dziś rano wstając poszedłem zanurzyć się w zimnej kąpieli. Stanowi to tu wielką przyjemność i niezbędną potrzebę. Gorąco tu jest nadzwyczaj gwałtowne. Stopionoby się bez tego środka. Wczorajsza przynajmniej kąpiel była zachwycająca. Opuszczam Ciebie, aby się udać do zarządcy wyspy, dla którego mam list.

Ta część dziennika była posłana przez statek „Ziemia" z Hawru 27. czerwca.

Wczoraj [1]) przez okręt z Hawru, nazwany „Ziemia", przesłałem zeszyt składający się z 30 stronic pisma, który zawierał

---

[1]) Jakkolwiek ten ustęp dziennika nie ma daty, można jednak z łatwością z treści jego oznaczyć, że pisany był 28. czerwca.

nal de ma route, et te donnait avis de mon arrivée ici. Je l'ai adressé au baron de Stael; j'espére qu'il te parviendra avant cette lettre-ci. S'il se perdait par malheur tu en trouveras ici un resumé, car je n'ai ni le temps, ni la possibilité de copier des volumes, vû que le vaisseau qui doit porter cette lettre, part demain, et qu'elle doit être remise aujourd'hui. Nous avons mis en mer le 16. du mois de Mai, et après avoir décapé avec une grande facilité, les vents contraires nous ont arrêté par le 31° degrés: les calmes ont succédé ensuite. Toutes ces contrarietés ont fai, que la traversée a été de 40 jours; J'en ai passé une grande partie dans mon hamac, souffrant du mal de mer, et de mille autres incommodités. Nous vîmes la terre le 24. Juin Mardi, au lever du soleil et après avoir resté 36 heures à la vue de la rade sans pouvoir y entrer, nous mouillâmes enfin le lendemain à midi, je descendis à terre une heure après.

On ne met pas une grande recherche à se loger. Les maisons sont toutes à un étage, avec de grandes salles basses, qui ont plusieures ouvertures sur la rue. Les meubles sont mesquins, et mal tournés: ils ne connaissent, ni les carreaux ni ces sophas des Perses, des Turcs et d'autres peuples orientaux: et quoique

---

dziennik mojej podróży i miał ci oznajmić o moim tu przybyciu. Zaadresowałem go do barona de Stael; mam nadzieję, że dojdzie do Twoich rąk przed tym listem. Gdyby się przez nieszczęście zgubił, znajdziesz tutaj jego streszczenie, bo nie mam ani czasu ani możności przepisywać tomów, ze względu, że okręt,| który ma zabrać ten list, odpływa jutro i że mam oddać go dzisiaj. Wypłynęliśmy 16. maja i okrążyliśmy przylądek z wielką łatwością; przeciwne wiatry zatrzymały nas pod 31°. potem nastała pogoda. Wszystkie te przeciwności spowodowały, że przejazd trwał 40 dni. Większą częć tego czasu spędziłem w hamaku, cierpiąc na chorobę morską i na tysiąc innych dolegliwości. Ziemię ujrzeliśmy 24. czerwca we wtorek, o wschodzie słońca i pozostawszy przez 36 godzin w pobliżu przystani, gdyż nie mogliśmy do niej wejść, wylądowaliśmy nareszcie nazajutrz o południu; ja w godzinę potem opuściłem okręt.

Nie robi się wielkich poszukiwań, aby się umieścić. Wszystkie domy są jednopiątrowe, z wielkiemi, niskiemi salami, które mają kilka wyjść na ulicę. Meble są nędzne i niezgrabne: nie znają oni ani szyb ani sof perskich, ani tureckich i innych narodów wschodnich i chociaż wyspa obfituje w drogie drzewo, mie-

l'isle abonde en bois precieux ils n'ont point apris des colons Anglais, leurs voisins à les façonner en meubles simples et élégants. Les tables sont proprement servies, à en juger par celle des auberges, qui sont ordinairement le siege de la mal propreté. Il y a de quoi faire bone chère. Tu sera très-peu sensible à la derniere observation' mais tout le monde n'est pas egalement philosophe sur cet article.

Nous avons été hier un moment au spectacle; on y donnait „les Fourberies de Scapin" et „les deux Avares". Tu peux juger du talent des acteurs de St. Pierre par la médiocrité de ceux de Paris. C'est qu'il y a d'étonnant, c'est de trouver, des êtres assez peu raisonnables, pour aller s'enfermer pendant trois heures dans un vilain tandis, pour doubler l'extrême chaleur sous laquelle ils succombent. l'air empoisonné par leur haleine et leurs exhalaisons. Nous avons vû au spectacle le V-te de Laval très occupé d'une dame de ce pays-ci, dont on prétend qu'il possede les faveurs. A notre retour nous avons soupé avec plusieurs negociants, et on n'a parlé que de speculation, de denrées, de barriques, de marchandises seches etc.

---

szkańcy jej nie nie nauczyli się od kolonistów angielskich, swoich sąsiadów, robić z niego meble proste i eleganckie. Stoły są czysto zastawione, sądząc po stołach w oberżach, które bywają zwykle stekiem nieczystości. Jest czem dobrze się najeść. Ta ostatnia uwaga wzruszy Cię nie wiele, ale nie wszysey są równie filozofami w tym względzie.

Wczoraj byliśmy na chwilę na przedstawieniu; dawano „les Fourberies de Scapin i „Dwóch skąpców". Po miernocie paryskich aktorów możesz sądzić o talencie aktorów z Saint Piere. Co jest zadziwiającem, że znajdują się tu istoty tak mało rozsądne, aby pójść zamknąć się przez 3 godziny w brzydkiej dziurze, aby doznawać nadzwyczajnego gorąca od którego upadają, wdychiwać powietrze zepsute ich oddechiem i wyziewami. Widzieliśmy na przedstawieniu V-te de Laval'a bardzo zajętego pewną panią tego kraju, której względy, jak powiadają, posiada. Po powrocie jedliśmy z kilku kupcami kolacye i mówiono tylko o spekulacyi, cłach, baryłkach, o towarach suchych i t. p.

Ce matin nous nous sommes occupés à arrêter notre passage pour St. Domingue, pour où nous partirons en quelques jours. Je m'en vais les passer à la campagne dans l'habitation d'un homme, avec le fils du quel j'ai fait connaissance. Il faut voir un peu la maniére de faire le sucre, et tous les détails d'une plantation.

Je m'en vais, de ce pas diner cher l'intendant et le soir nous partons pour le Fort Royal, et de là à cette campagne; enfin nous revenons ici pour nous embarquer. J'aurai sûrement l'occasion de t'écrire une troisieme lettre avant mon départ; mais quoi? Quand reverrai-je ces caractéres si chers? Et surtout, quand pourrai-je baiser la main, qui les trace? — Á moins, que je me noye — ou que je meure, je serai à Paris, à la fin du mois de Novembre — c'est à dire, trois mois après que tu auras reçu cette lettre. Je t'embrasse de tout mon coeur... sens-tu l'ardeur de mes baisers?

Dziś rano zajęliśmy się zamówieniem miejsca na przejazd do San-Domingo, gdzie udamy się za dni kilka. Spędzę je na wsi, w mieszkaniu człowieka, z którego synem poznajomiłem się. Muszę zaznajomić się trochę ze sposobem robienia cukru i ze wszystkiemi szczegółami plantacyi.

W tej chwili idę jeść obiad u zarządcy, a wieczorem jedziemy do Fort Royal, a stamtąd do tej wsi; wreszcie powracamy tu, aby wsiąść na okręt. Będę mógł z pewnością napisać do Ciebie trzeci list przed moim wyjazdem; ale cóż? Kiedy ujrzę na nowo to pismo tak drogie, a szczególnie, kiedy będę mógł ucałować tę rękę, która je pisze? — Chybabym się utopił lub też umarł, w przeciwnym razie będę w Paryżu przy końcu listopada — to znaczy we trzy miesiące po otrzymaniu przez Ciebie tego listu. Całuję Cię z całego serca... czy czujesz ogień moich uścisków?

1. Juillet, Mardi, à l'habitation de Mr. Pocquet, Quartier du Lamentin.

En partant avant hier de St. Pierre. j'ai laissé une lettre pour toi: elle devait partir le lendemain par le Pégase, navire Bourdelais; et il y a quatre jours que le brigantin normand, nommé la Terre, en a emporté une de 30 pages: il est à croire qu'au moins une des deux te parviendra. Notre départ a été reculé; et nous sommes presque décidés de nous embarquer sur l'Amphion de 64 canons, qui doit partir, au plus tard, le 10 de ce mois.

Si quelque obstacle imprévu empêchait ce vaisseau de sortir, nous chercherions alors à nous acrocher à quelque marchand; mais quoiqu'il en soit, nous ne serons plus ici au commencement de l'hivernage qui est le 15 du courant.

Je suis bien impatient d'arriver à St. Domingue: j'espère d'y trouver de tes lettres. Je suis vraiment malheureux de n'avoir aucune nouvelle. Cette incertitude empoisonne tous mes plaisirs, et me tient dans une inquietude nuisible à ma santé. Tu ne conçois pas, ma chere amie, combien je t'adore. Si mon malheureux

---

1. lipca, wtorek, w posiadłości p. Pocquet, dzielnica Lamentin.

Wyjeżdżając wczoraj z Saint Pierre zostawiłem list dla Ciebie: miał on odejść nazajutrz „Peguzem“, okrętem Bourdelais; a cztery dni temu fregata normandzka, zwana Ziemią, zabrała mój list składający się z 30 stronnic: można zatem mieć nadzieję, że przynajmniej jeden z dwóch dojdzie do Ciebie. Wyjazd nasz został odłożony i jesteśmy prawie zdecydowani wsiąść na Amphion. statek o 64 działach, który ma odpłynąć najpóźniej 10 b. m.

Gdyby nieprzywidziana przeszkoda nie pozwoliła temu okrętowi wypłynąć. staralibyśmy przyczepić się wówczas do jakiego kupca; ale choćby tak nie było, nie będziemy już tu w początkach zimowania statków, które przypada 15 b. m. Jestem bardzo niecierpliwy, aby przybyć do San Domingo: mam nadzieję że zastanę tam twoje listy. Jestem naprawdę nieszczęśliwy nie mając wiadomości. Ta niepewność zatruwa wszystkie moje przyjemności i trzyma mię w niepewności, szkodliwej memu zdrowiu. Ty nie wyobrażasz sobie, moja droga przyjaciółko, jak ja Cię czczę.

sort voulait que je perdisse ton coeur, ou qu'il t'arrivat quelque chose de sinistre, je ne reviendrais jamais en France, et je finirais ma triste vie dans quelque pays éloigné inconnu à mes parents et détestant le jour. Tout mon bonheur est fondé sur toi, et je n'ai aucun doute sur la réussite de mes projets, aucun retour, si je te retrouve dans les mêmes dispositions.

Que nous serons heureux! Que de plaisirs nous goûterons! Quel genre inconnu de jouissances viendra embellir notre vie? Et combien nous serons recompenses des privations et des contrariétés que nous avons été obligés d'essuyer? Pourquoi le temps de mon voyage ne s'econle-t-il rapidement et pourquoi dois-je sentir aussi cruellement sa durée? N'as-tu pas en peur, que je ne cherche à me marier ici? Je t'assûre, je te jure, que je te préférerai à des millions et à la beauté de Venus — que le coeur et l'ame de ma chere Julie sont de plus grands trésors à mes yeux, que les revenus des deux Indos. Je veux être le dernier des hommes, si jamais j'oublie cette maniére de penser. Sois donc tranquille, mon cher amour, et sois persuadé, que jamais tu n'as inspiré de passion plus vraie et plus tendre que la mienne, et qu'il m'est impossible de vivre sans toi. Je suis ici chez le

---

Gdyby mój nieszczęśliwy los chciał, abym stracił Twoje serce lub żeby Ci się wydarzyło coś złowrogiego, nie powróciłbym nigdy do Francyi i zakończyłbym moje smutne życie w jakimś kraju, oddalonym i nieznanym moim krewnym i nienawidząc dnia. Całe moje szczęście złożone jest w Tobie i nie mam najmniejszej wątpliwości co do osiągnięcia mych zamiarów, ani obawy zmian, jeżeli Cię odnajdę w jednakowem usposobieniu. Jak my będziemy szczęśliwi! Ile przyjemności zakosztujemy, jaki nieznany rodzaj uciech ozdobi nasze życie? I jak bardzo będziemy wynagrodzeni za przykrości i odmawianie sobie, jakie musieliśmy wycierpieć? Dlaczego czas mojej podróży nie płynie szybko i dlaczego ja muszę odczuwać tak okrutnie jego długość? Czy nie bałaś się, abym nie starał się tu ożenić? Upewniam Cię, przysięgam Ci, że wolę Cię nad miliony — i nad piękność Wenery, że serce i dusza mojej drogiej Julii są większymi skarbami mojej duszy, niż dochody obu Indyi. Chcę być ostatnim z ludzi, jeżeli kiedy zmienię ten sposób myślenia. Bądź więc spokojna, moja droga miłości i bądź przekonaną, że nigdy nie wzbudziłaś uczucia prawdziwszego i czulszego, niż jest moje i że niepodobnem mi jest żyć bez Ciebie.

père d'un officier du regiment du roi, avec lequel j'ai fait connaissance dans la traversée. Le fils est un garçon bien élevé, de bonne compagnie, et très aisé à vivre. Le père est un homme simple, honnête, sensé et instruit. Il a de la fortune, et nous y sommes à merveilles: Il est doux et humain avec ses nègres, et parait en être aimé. Le spectacle d'une habitation est une chose très-curieuse; je tâcherai de t'en donner une idée, mais on vient m'interrompre. On me dit que le Reflechi est arrieré, que l'Amphion, qu'il releve, dait partir incessamment; et qu'il nous faut aller demain au Fort Royal. Notre départ est par conséquent très prochain; et nous ne serons pas obligés d'attendre jusqu'au 10.

Jestem tutaj u ojca pewnego oficera pułku królewskiego, z którym się poznajomiłem w drodze. Syn jest chłopcem dobrze wychowanym, z dobrego towarzystwa i bardzo łatwy w życiu. Ojciec jest człowiekiem prostym, uczciwym, rozsądnym i wykształconym. Ma majątek i dobrze mam u niego: jest łagodnym i ludzkiem w postępowaniu ze swymi murzynami i zdaje się być od nich kochanym. Widok posiadłości jest bardzo ciekawy; postaram się dać ci o niej wyobrażenie — ale idą przerwać mi. Mówią mi, że Reflechi jest spóźniony, że Amphion, którego on zmienia, musi odpłynąć natychmiast i że musimy jutro jechać do Fort Royal. Nasz odjazd jest więc bardzo bliskim i nie będziemy zmuszeni czekać do 10-go.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sofiści, a oświata helleńska.

Po „średniowieczu“ greckiem, w którem Homer zajmował miejsce Dantego, nastąpiło w Helladzie na wszystkich polach twórczości ducha ludzkiego „odrodzenie“ z początkiem w. VI. przed Chr. Sofiści, którzy dopiero w drugiej połowie V. w. się pojawiają po różnych stronach Grecyi, są tego umysłowego prądu wytworem i dobitnym wyrazem. Wspólności w ich rozbieżnych dążeniach i przekonaniach niema, prócz podstawowej zasady najstarszego z nich Protagorasa, że człowiek jest probierzem wszechrzeczy. Można o nich, pomimo znacznych pomiędzy nimi różnic, powtórzyć to powiedzenie, które zastosowano do humanizmu i odrodzenia włoskiego, że przyczynili się do odkrycia człowieka wraz z jego wewnętrznym światem i życiem.

Skąd się wzięła tak osławiona z czasem nazwa sofisty i co oznacza? Eschyl oraz Sofokles zwą sofistami zręcznych muzyków, nadto Eschyl mieni sofistą Prometeusza. Pindar używa tego wyrazu o muzykach i poetach. Komedyopisarz Kratynos zagarnia wszystkich poetów z Homerem i Hezyodem pod jedno miano „ula“ czy „roju sofistów“. Siedmiu mędrców tak zwano; zwłaszcza o jednym z nich, o Solonie, Herodot wyraża się jako o należącym do cechu greckich sofistów, podobnie o Pitagorasie i orfikach. Dyogenes z Apollonii nazywał swych poprzedników sofistami i t. d. Sam Protagoras, głowa sofistów, w dyalogu platońskim tegoż imienia wskazuje na starodawność sofistyki, którą przed nim ukradkiem pielęgnowali: Homer, Hezyod i Symonides, następcy

Orfeusza i Muzajosa, gimnastycy tudzież muzycy. Wyraz tedy sofista *(sophistés)*, pochodzący od sophídzomaj (mądrze wymyśleć), określa tego, który w zawodzie swoim odznaczył się, gdyż dokonał jakiejś nowości, jakiegoś odkrycia lub wynalazku.

Pole działania sofistów odmierzył młodszy cokolwiek od Protagorasa, Prodykos w następujący sposób, że między mędrcem *(sophós)* a miłośnikiem mądrości *(philósophos)*, umieścił pośrodku sofistę i zdefiniował go jako coś pogranicznego między politykiem a filozofem, którym się sam nazywał. Z tej definicyi wynika, że chcąc należycie zrozumieć cel i zakres sofistyki, trzeba ją wyodrębnić na tle epoki podwójnie, z jednej strony od politycznej czyli praktycznej mądrości i z drugiej strony od teoretycznych dociekań lub też filozoficznych systemów. Zacznijmy od t. zw. praktycznej i politycznej mądrości, od wiedzy rzeczy boskich i ludzkich, krzewionej w szkole Pitagorasa i skreślmy ją pokrótce.

O ile wnosić można, mądrość i wielowiedza Pitagorasa były istotnie wielkie, lecz opierały się na mylnem i złudnem założeniu, że matematyka jako jakaś specyalna umiejętność, nauka nauk, potrafi wytłumaczyć z pomocą liczb najściślej i jak najpewniej ustrój wszechświata. Tymczasem liczby nie rządzą światem, ale wskazują tylko, w jaki sposób świat jest rządzony; mają zatem jedynie formalne, nie rzeczywiste znaczenie. Ład i harmonia w świecie, w kosmosie, do których sam założyciel pitagorejskich bractw czy zakonów przystosowywał swoje etyczne i polityczne poglądy, były czemś przedustanowionem, skostniałem, zewnętrznem, nie uwzględniającem porywów duszy ludzkiej i tego świata dla siebie, mikrokosmosu, jakim się staje człowiek przez własną indywidualność duchową.

Mamy ślady, że sekta pitagorejska opanowała w Atenach system edukacyjny rady w Areopagu, który zasadzał się na ciągłych a uciążliwych ćwiczeniach i długoletniem zaprawieniu od dziecka do uległości wobec nakazów, tudzież etycznych przepisów. Wprawdzie nie jest nam znany ów tryb wychowania w szczegółach, jednak utyskiwania na niego Prodykosa (w pseudoplatońskim Axiochosie), a nadto wzgarda Temistoklesa dla muzycznych produkcyi i wychowawczej metody Pitagorejczyków, dowodzą, że asceza w ich szkole odbywała się kosztem pogwałcenia natury ludzkiej. Toteż Temistokles więcej zawierzył swej przyrodzonej sile oraz potędze umysłu, niż pedagogicznej rutynie, której szczęściem nie przeszedł; Prodykos zaś niewątpliwie ucierpiał przez

nią, gdyż w jednem ze swoich dzieł — prawdopodobnie: „O naturze człowieka“ — roztoczył tak rozpaczliwy obraz ludzkiej niedoli, w którym poświęcił osobne miejsce żalom i skargom na ciemięzców i dręczycieli młodzieży, że go nazwano w nowszych czasach najstarszym pesymistą. O tyle słusznie, o ile on był pierwszym, który chwilami posępny nastrój Homera i Hezyoda, a stale smutny w poezyi lirycznej, ujął teoretycznie i uzasadnił w metafizycznym poglądzie.

Prodykos był antypodą Pitagorasa; jeśli więc sam się mianował filozofem, to w przeciwieństwie właśnie do mędrca takiego, jak Pitagoras, który był wprawdzie polymatą i polyhistorem, lecz filozofem mimo to nie był. Tego tytułu odmawia mu się dziś słusznie; natomiast przyjąć trzeba, że filozofia wraz z swoją nazwą powstała w Jonii i że wyrazy: philósophos i philosophía, jak tyle innych złożonych z philos, upowszechnili za Heraklitem sofiści, jako oznaczające dopiero poszukiwanie mądrości przez miłośników mądrości, w przeciwstawieniu do już rzekomo zdobytej mądrości pitagorejskiej. Podkład w nauce Pitagorasa był popularny i religijny, czego dowodem chociażby wiara w metempsychozę, czyli pokutowanie dusz ludzkich w różnych ciałach i kształtach. Pogląd zaś Prodykosa opierał się na filozoficznym monizmie i panteizmie jońskim, a skłaniał się do religii nowej, którą w sprzeczności do zadowolonego oddania się światu i jego porządkowi boskiemu, nazwano religią wyzwolenia. Rzecznikiem tej religii poetów w rodzaju Eurypidesa i filozofów na wzór Prodykosa był Eleata Xenofanes, którego pojęcie Boga bezosobowe nie mogło między ową najwyższą istotą a duszą ludzką nawiązać serdeczniejszego stosunku. Nazwijmy tamtą, pitagorejską religię, polegającą na wstrzemięźliwości i zaparciu się siebie, od jej patrona apollinową albo religią „zdrowego rozsądku“ (znaczy to tyle, co grecka sophrosyne); tej nowej zaś religii od bóstwa, które na liryce i tragedyi helleńskiej wycisnęło swe piętno, nadajmy miano dyonizyjskiej czyli religii „boskiego szału“ *(thymós)* — a wskazaliśmy drogę pośrednią, między miarą Apollina a obłędem Bakcha, na którą weszli sofiści z Protagorasem na czele.

Jak w „Orestei“ Eschyla Pallas Atena rozstrzyga spór Apollina delfickiego z Erinyami i głosem swoim uwalnia Orestesa od winy, tak występuje ona podobnie w szczytnej akcyi rozjemczej, jaką jej przypisała legenda. Gdy Tytanowie ciało Dyonizosa poszarpali na sztuki, Atena uratowała jego serce gorące i kochające ludzi, pomimo wielu błędów i szaleństw, a chłodne zwłoki dała

do pogrzebana — Apollinowi. W tej pomysłowej legendzie mieści się cierpka i wymowna ironia: jasnowidzący i rozsądny Apollo jawi się w roli grabarza szału, bogini zaś mądrości, Atena, spełnia czyn miłosierny jako potężna orędowniczka i litościwa opiekunka „rozumnych szałem“. Jako myśl gromowładną, kierującą wszechświatem, przedstawił ją Heraklit; a jego gnome, odbłysk Ateny w umyśle ludzkim, wziął za punkt wyjścia Protagoras i przygotował reformę, większą od dwóch poprzednich: apollinowej i dyonizyjskiej, reformę ateńską, która nie wyłączała żadnej z dotychczasowych, lecz obie sprzeczne ze sobą w wyższej rozwiązywała harmonii, głoszonej przez Heraklita.

Prócz myśli (gnome) wogóle, była Atena przedstawicielką szczególnie „dobrej myśli“ czy „dobrej rady“ *(eubulía)*, a tę myśl dobrą w czynie i słowie, w zarządzaniu sprawami domowemi i państwowemi, uczynił pierwszy Protagoras osią swojej nauki. Wiadomościom i sztukom, jak: arytmetyka, geometrya, astronomia i muzyka, nabywanym przez młodzież w zakładach pitagorejskich, przeciwstawiał on jedną, jedyną sztukę obywatelską *(politiké techne)* i zapowiadał, że za pomocą tej sztuki dobrych wykształci ludzi i członków państwa. To wysunięcie na sam przód wychowawczej sztuki, związanej z życiem jednostki i społeczeństwa, wbrew nieruchomej wiedzy pitagorejskiej, którą uprawiał dalej sofista Hippias, alboteż wbrew filozofii, odwodzącej od życia, w której pogrążył się Prodykos, jest niewątpliwą zasługą Protagorasa. Dla niego wiedza i filozofia nie miały celów same w sobie, lecz były tylko dźwigniami sztuki i artystycznej twórczości.

W zbiorze pism Hippokratesa, twórcy szkoły medycznej na wyspie Kos, odkryły badania nowsze znaczną część rozpraw t. zw. iatrosofistów, lekarzy, zostających pod wpływem sofistyki i filozofii przyrody. Jeden z publicznych wykładów tego rodzaju, który nawet przypisać chciano samemu Protagorasowi, ma napis charakterystyczny: O sztuce *(Perí technes)*. Autor tego traktatu zarzuca przeciwnikom brak sztuki i zniesławianie przyrody, natomiast w przeciwieństwie do kształtujących z zewnątrz przepisów uwydatnia wewnętrzne jej ujęcie i mieni idee kierownicze wykwitem przyrody, nie prawidłami w wyrazach. Przeciw prawu, prawidłu stanowionemu *(nomos, nomothétema)*, wytacza tedy ów

niewątpliwie zwolennik Protagorasa przyrodę *(physis)*, ale nie materyalną tylko i mechaniczną. Sztuka bowiem w pojęciu Protagorasa zasadzała się na przeduchowieniu przyrody; na tem, co Goethe, z którym go zestawiono, nazwał *„höher als die Natur“* lub co *„als höhere Natur in der Natur erscheint“* — na obopólnem przeniknięciu się sztuki i przyrody: *„das Künstliche ganz in die Natur und die Natur ganz in die Kunst zu verwandeln“*. W rozumieniu sofistów i filozofów przyrody, wykształconych w nauce Heraklita i Protagorasa, natura jest dynamiczną, ruchliwą, czynną; nie naturata ale naturans, raczej twórczą, niżeli stworzoną. Tymczasem dla tych, którzy zdaniem autora rzeczonego wykładu „O sztuce“ zniesławiali przyrodę, była ona czemś statarycznem, stałem, niezmiennem.

Taką, fatalistycznie stężałą, przedstawia się przyroda w tych dziełach, które na pewne przyznaje się Hippokratesowi samemu, jak oto w „Przykazaniu Hippokratesa“, „O lecznictwie pierwotnem“ i „O powietrzu, wodach i okolicach“. W tych wymienionych rozprawach, przetłumaczonych także na język polski p. t. „Dwie księgi Hippokratesa“ przez dra Henryka Łuczkiewicza (Warszawa 1890), rozwinął autor metodę, którą w przeciwstawieniu do filozofii jońskiej śmiało nazwaćby można pozytywną, gdyż broniąc empiryi wraz ze starą sztuką lekarską, zwraca swe polemiczne ostrze w stronę młodszych lekarzy, przeciw sofistom i Empedoklesowi i wszystkim im ryczałtowo zarzuca skłonność do zapuszczania się w hipotezy filozoficzne przy braku zupełnym doświadczalnego dowodu na ich poparcie. Ściśle i zasadniczo odróżnia Hippokratesa od filozofów, a zbliża do stanowiska Pitagorejczyków, wyłączne poleganie na wiedzy *(episteme)*, rzekomo pewnej i rzeczywistej, wolnej od złudzeń podmiotowego mniemania *(doxa)*. Jak Pitagoras o matematykę, tak Hippokrates o medycynę oparł cały gmach wiedzy. Co wykraczało poza granice wiedzy, to dla nich obu nie stanowiło osobnej, samoistnej dziedziny sztuki, poezyi lub filozofii, lecz nazywało się niebylicą, czemś nieistniejącem, w najlepszym razie tajnym obszarem wiedzy *(orgia epistemes)*. Trzeba było zwodniczej stałości i niewzruszoności wiedzy coś przeciwstawić zmiennego i ruchomego. Uczynili to za przewodem poety i filozofa Empedoklesa oraz sofistów przedstawiciele młodszej szkoły lekarskiej w Knidos, którzy wbrew przedmiotowej wiedzy na pierwszy plan wysunęli pogląd na świat i osobiste mniemanie, liczące się ze zmysłami i ich wielorakiem, indywidualnem świadectwem.

O naturze, a w szczególności o naturze człowieka, mieli uczniowie zarówno Pitagorasa jak Hippokratesa wspólne zapatrywanie, że od przypadku i szczęśliwego losu zależy, czy ktoś się rodzi zdolnym do wykształcenia. Natura ludzka to niby gleba, w którą nauczyciele za przykładem rolników wsiewają ziarna prawideł. W dobre natury można zaszczepiać cnotę i zaorywać wiedzę i to za pomocą żmudnych i długotrwałych ćwiczeń, wobec rzekomo złych i opornych na nic się wszystko zdało. O melioracyi zaś tej natury ludzkiej i gruntów nic nie wiedzą uczeni wychowawcy dawnego kroju, obracający się jakby w zaczarowanem kole rolnictwa. Przeciwnie Plutarch czy Pseudo-Plutarch, który w rozprawie o wychowaniu chłopców widocznie się zapożyczył z obfitej w swoim czasie literatury sofistycznej, przytacza w duchu Protagorasa wymowną apologię nauki i sztuki wychowawczej w tych polemicznych i paradoksalnych, złotych słowach: „Jeżeli ktoś utrzymuje, że braku przyrodzonego uzdolnienia pomimo trafnej nauki i zaprawienia należytego wcale nie można usunąć, niech wie, że wielce a raczej całkiem się myli. Albowiem to, co naturze przeciwne, praca silniejszem czyni od tego, co naturalne. Im coś jest lepszem z natury, tem gorszem staje się przez zaniedbanie, np. dobry grunt bez uprawy jałowieje tem bardziej, im lepsze są jego przyrodzone zalety. A natomiast: skalista, nawet nad miarę licha, lecz uprawiona rola zaraz wydaje szlachetne plony“. Grunt marynarski tymczasem, na którym się rozwinęła nauka Protagorasa, mniej pewnym jest i chwiejniejszym od gleby rolnej, za to wymagał większej biegłości w sterowaniu umysłem i opanowaniu przezeń okoliczności zewnętrznych. Sposób kształcenia sofistów miał swoje źródło nie we wpajaniu z góry gotowych reguł, praw i przepisów, lecz owszem z wnętrza ludzkiego wychowańców wysnuwał i wywiązywał drogą rozwoju nowe idee i nowe siły.

Dawny pogląd społeczno-państwowy, wykarmiony na wiejskiej glebie, umiarkowany, pokorny i karny, śmiało zastąpił Protagoras świeżym, domagającym się uwzględnienia indywidualizmów w miarę ich rzeczywistej wartości. Teren, na którym on się porusza, jest nowy, stworzony po wojnach perskich przez panowanie Ateńczyków na morzu. Chwalił ich Protagoras za to, że nie poprzestając na mimowolnych darach przyrody, starają się o osobiste nabytki przez naukę i wprawę. Nie przyroda, lecz sztuka, jest punktem wyjścia dla niego; nie bez danych przyrody, stosownie do „Przykazania“ Hippokratesa i pitagorejskich przekonań, ale bez ludzkiej sztuki, wszelkie ćwiczenie jest niczem.

I odwrotnie, dowodził tenże Protagoras, wszelka sztuka jest niczem bez ćwiczenia. Kulturę, artyzm i życie czynne obywatelskie, wynosił ponad naturę zmechanizowaną i wiedzę ścisłą, uwzględniającą w szechświecie stronę formalną i materyalną, a ukrócającą w nim stronę głębszą, duchową i ideową.

Gdyby Grecy, a zwłaszcza Ateńczycy, przeważnie byli rolniczym pozostali narodem i za przykładem wschodnich agrarnych ludów, Egipcyan i Babilończyków, uprawiali wyłącznie prawie sędziwą wiedzę, to może byliby im dorównali pomimo swej kulturalnej młodszości; ale Grecy woleli zamiast być naśladowcami, właśnie ponieważ byli młodsi na duchu i na siłach, zdobyć się na coś niebywałego w dziejach świata i wyczarować z siebie, mówiąc słowami Welckera (Götterlehre I. 249), *„die menschliche gottbewuszte Freiheit, aus welcher alle Kraft und Freudigkeit zum Besten und Edelsten fliesszt"*, a czego ani semicki ani aryjski Wschód nie przeczuwał. Wiemy przynajmniej co do Aten za Peryklesa, że innym państwom chciały przyświecać wzorem, jak bez trapiących trudów i ćwiczeń, uprawianych na podobieństwo Spartan już od samego zarania młodości, można nie mniej skutecznie osiągnąć cel wychowania. Dlatego demos ateński uznając za zbyt żmudną i przykrą długoletnią tresurę gimnastyków i muzyków, pousuwał ich z państwa. Kiedy to nastąpiło? Prawdopodobnie wtedy, gdy lud przez ostracyzm Tucydydesa starszego w r. 444. rozbił pitagorejską heteryę t. zw. pięknych i dobrych, ukróciwszy już przedtem ich polityczny wpływ przez zamach na radę z Areopagu w pamiętnym r. $46^2/_1$. Jednak społecznie i dialektycznie nikt inny, tylko Protagoras, przez swą gnome i techne złamał oddziaływanie pitagorejskich dążności i pośrednicząc między burzliwem napięciem ducha u młodych zapaleńców a przestrzeganą w misteryach pitagorejskich oschłą wiedzą i ciszą, zaprowadził tem samem zwrot w wyrażaniu myśli, dalekiem od wszelkiego sekciarstwa, a ten sposób myślenia i mówienia ogólnie się rozpowszechnił za sprawą Ateńczyków.

Metodę rozumowania Protagorasa w braku dzieł własnych najlepiej poznać można z dwu dochowanych utworów, pozostających pod silnym wpływem wielkiego Abderyty, choć wyszły nie z jego koła, a mianowicie: z Dialexeis i Athenaion politeia.

Twórca doryckich Rozmówek (Dialexeis), powstałych według moich obliczeń wkrótce po r. 445., był wprawdzie Pitagorejczykiem i mistykiem, ale zarazem sofistą, za jakiego go miano już w XVIII. w. Młodszy od niego autor pseudoxenofontowej Ustawy ateńskiej do niedawna uchodził za oligarchę i wstecznika, nim dopatrzono w nim słusznie modernistycznie wykształconego sofisty. Obaj to mają wspólne, że chociaż nie są zwolennikami demokracyi, sprzyjają demosowi i stoją silnie na gruncie stworzonej w wojnach perskich i wywalczonej przez lud ateński symmachii morskiej, czy też unii delijsko-attyckiej, przeciw zakusom i uroszczeniom konserwatywnej Sparty. Oprócz tych nowatorskich zasad społeczno-państwowych wspólną jest także im obu pewna właściwość, polegająca na ciągłej przeciwstawności dwóch sprzecznych zdań, z których żadne bezwzględnej prawdy w sobie nie mieści, lecz każde tylko cząstkową i względną. Zwłaszcza wynik ostatniej rozprawki (diálexis) wielce jest charakterystyczny. Chodzi w niej o rzecz sporną i wciąż poruszaną przez sofistów w debatach, czy mądrości i cnoty można nauczyć. Zbiwszy tedy kolejno — zgodnie ze sofistami — wszystkie dowody, przeciwne ich nauczaniu, kończy nasz dialektyk w ten sposób, że nie twierdzi, jakoby można kogo nauczyć mądrości i cnoty, ale nie wystarczają mu szczegóły, przytoczone przeciw ich nauczaniu. Najbardziej jednak uderza u tego pitagorejskiego rozjemcy podrzędna rola, jaką dość od niechcenia wyznaczył nieświadomym czynnikom przyrody w wykształceniu i wychowaniu. Ten rys znamienny odstręcza go od własnego obozu, w którym przyrodę owszem na pierwszy plan wysuwano, a godzi z Protagorasem. Tegoż wynalazczości i pośrednictwu, wskazanemu przez niego, wrażeń zmysłowych oraz umysłu *(gnoma)* między starą mądrością *(sophia)* a młodem umiłowawaniem mądrości i myślicielswem (*philosophia*), poświęca autor entuzyastyczny ustęp, w którym dwadzieściakroć w kilkunastu zdaniach konjugowane słowo: epístasthai (wiedzieć) zogniskowuje się w jednem gnoma, podobnie jak osobisty umysł i umiejętność własna były dla Heraklita wszystkiem, a wielowiedza pitagorejska niczem.

Zastanawiając się nad dobrem i złem w rozprawce pierwszej, dochodzi autor Rozmówek do przekonania, że zło i dobro nie są czemś zgoła odrębnem ani tem samem, ale dwujednią *(hekáteron)*. Również twórca Ustawy ateńskiej, gdyby go ktoś był zapytał, czy samo dobro skupiło się po stronie „najlepszych", a samo zło zagnieździło sie w t. zw. „złych" i „nikczemnych",

byłby niechybnie odpowiedział, że tak to jak tamto stronnictwo nie jest wyłącznie złem ni dobrem, ale potrosze jednem i drugiem: hekáteron. Dla demosu przynajmniej więcej warta życzliwość — przewrotnego nieuka, niż cnotliwego mędrca — nienawiść. Zawsze autor wychodzi od zdania przeciwników demosu, potem zwalcza je, stając na gruncie demokracyi, choć sam jest lojalnym opozycyonistą względem jej rządów, a nie wrogiem bynajmniej zwierzchniczej władzy demosu. Swą metodę rozjemczą i syntetyczną, wynikłą z porównywania wszelkiej tezy z jej antitezą, zawdzięcza on — podobnie jak twórca Rozmówek — pierwszemu, który wynalazł ten rodzaj dowodzenia, sofiście Protagorasowi. Słyszymy wprawdzie o tej metodzie, jakoby Sokratesowej i znamy jej zastosowanie przez Sokratesa bardzo naśladownicze w platońskim „Protagorasie", nawet w tej samej kwestyi uczenia cnoty, co w Dialexeis; godzi się jednak przypomnieć wbrew powadze Platona, że Protagoras właśnie napisał dzieło p. t. Antilogíai lub Aléthcia, w którem znajdował się wykład tej odmówionej jemu metody. Wreszcie terminologia, użyta w obu tych dziełkach, przywodzi żywo na myśl gnome i eubulia Protagorasa, przez które on równoważył ślepą namiętność i nieuctwo szaleńców z zdrowym rozsądkiem mądrych poczciwców, jak wnosić można z ich zgodnej przeciwstawności w Rozmówkach i Ustawie ateńskiej.

Kiedy u dwu wspomnianych, anonimowych pisarzy, za przewodem Protagorasa i jego Prawdy (Alétheia) jasno przebija to przekonanie, że nieodzownie trzeba sobie przyswajać świeże warunki bytu i siebie do nich przystosowywać, sofista Antyfont w swojej Prawdzie wystąpił ze spóźnioną obroną stanu prawnego z czasów Solona. Temuż bowiem sofiście i jego Prawdzie, konkurującej z Prawdą Protagorasa, należy mojem zdaniem przypisać ustępy, które w rozd. 20. Protreptyku Jamblichosa Blass odnalazł, pomimo że Diels w pomnikowem wydaniu: „Die Fragmente der Vorsokratiker" (Berlin 1903) odmówił Antyfontowi ich autorstwa i pod napisem: Anonymus Jamblichi przed Dialexeis śród pozostałości starszej sofistyki je zamieścił. Przeto podług sofisty Antyfonta stan prawny *(eunomia)* jest czemś najlepszem w świecie, a stan bezprawny najgorszem. Genealogię ma jego eunomia poczesną: w Teogonii Hezyoda pochodzi ona od Zeusa, jako pierwsza z sióstr, z Diką i Ejreną; opiewał ją Tyrteusz w osobnej elegii, wielbił gorąco Solon. Prawa pisane formalnie utożsamił sofista Antyfont z przyrodzonemi i wraz z poetą Eurypidesem niemal

w tych samych słowach uważał je za jedyną spójnię społeczną i państwową. Wskazanym torem Solona i Antyfonta uwydatnił następnie Eurypides stan trzeci: ludność rolniczą, strzegącą w państwie ładu i statku, wolności i równości, na mocy praw spisanych. Agrarna ta demokracya przemówiła traktatem Antyfonta, p. t. Prawda, za którym Eurypides potępił ruch sofistyczny z Protagorasem na czele w imię tych właśnie haseł ojczystej tradycyi, które służyły za pokrywkę reakcyi oligarchicznej.

W śmiałych i wolnomyślnych słowach bezimiennego autora broszury o Ustawie ateńskiej nie waham się upatrywać ostrej ironii i ciętej polemiki z niefortunnym rzecznikiem stanu prawnego, Antyfontem, którego tyczyć się zdaje następująca apostrofa: „Demos nie chce być sam niewolnikiem w prawnem państwie, lecz wolnym chce być i panować, a mało dba o złe urządzenia. Właśnie bowiem lud z tego bierze siłę i wolność, co ty mianujesz bezprawiem. Jeśli zaś szukasz stanu prawnego, zobaczysz, że zrazu najbieglejsi nadają im prawa, potem dobrzy poskramiać będą złych obywateli i będą radzili dobrzy nad rzecząpospolitą i nie dopuszczą ludzi szalonych do rady, słów i zgromadzeń. Dzięki tedy tym dobrodziejstwom demos wkrótce popadłby w niewolę". Rzekomy oligarcha i arystokrata przyznał słuszność swym ziomkom, jak później mowca Isokrates pod koniec życia w Panatenaiku, że mocarstwową potęgę morską przenieśli nad przewodnictwo lądowe, mimo iż dobrze wiedzieli, że stary ład i porządek, skromność i karność, muszą uledz w koniecznym rozkładzie zmianie zupełnej i przeobrażeniu. Natomiast uwzględnijmy, że przedstawiciel agrarnej demokracyi: sofista Antyfont, był liberałem, pysznym ze swej mniemanej mądrości i cnoty, wyniośle spoglądającym z wyżyny materyalnego zbytku i wystawności na ubogich nieuków i przewrotnych szaleńców — a zrozumiemy sarkazm, jaki się mieści w paradoksalnych antitezach autora Politei ateńskiej, oraz w jaskrawem przeciwstawieniu moralnych dóbr zachowawców i ich posiadłości ziemskich dobrom wyższego rzędu, wynikłym z potęgi morskiej Aten.

Krajem klasycznym i ziemią obiecaną takiego ustroju demagogiczno-możnowładczego, jakiego pragnął Antyfont, jeśli uwierzyć mamy świadectwu Isokratesa, była — Sparta. W niej to kwitnęła szczególnie owa demokratyczna równość i sprawiedliwość, którą Isokrates i Eurypides retrospektywnie przenieśli w zamierzchły wiek Tezeusa, Antyfont zaś upodobnił ze stanem

naturalnym i organizacyą pszczół, stworzoną przez Zeusa podług wielkich praw przyrodzonych. Plutarch w żywocie Likurga porównywa spartański ustrój państwowy z ulem pszczół i mianuje Spartan rojem rozumnych obywateli. Zwolennik „złotej wolności“, sofista Antyfont upatrzył natomiast w wolnych obywatelach ateńskich dążność jakby do „absolutum dominium“. Przecież to był właściwy powód do wydzielenia z łona demosu frakcyi Tucydydesa z Alopeki, ażeby zwalczać rodzące się niby jedynowładztwo, monarchię czyli tyranię, którą Antyfont mienił wytworem bezprawia i zaborczości. Ani jednak sofista Antyfont, ani idący za nim pod tym względem, jak pod wieloma innymi, Eurypides, widocznie tego nie rozumieli, że w ciężkich zapasach Peryklesa z koteryą Tycydydesa nie o to szło, czy ma ostać się demokratyczna idea czy nastać absolutyzm, lecz o to, czy możnowładztwo ma rządzić w formach demokratycznej ustawy czy demos sam, przedstawiony w osobie pierwszego — a nie jedynego — męża.

Kiedyż panował większy ład i porządek w państwie, czy wówczas, kiedy za władztwa Areopagu demos był „sam niewolnikiem w prawem państwie“, a oligarchowie jego obrońcę Efialtesa skrytobójczo zabili, czy może wówczas, kiedy ten demos — nikt inny — posiadł istotnie naczelną władzę przez panowanie na morzu, Perykles zaś go prowadził, strzegąc jego wolności? Żądza zaborcza, jeżeli była w demosie, większą nie była zapewne od osobistej chciwości oraz prywaty możnych. A jednak wykrzykiwała koterya tych możnowładców z Tucydydesem, synem Melezyasza, na czele, że demos traci sławę, gdyż straszną wyrządza krzywdę i gwałt zadaje helleńskim grodom, każąc im składać pieniądze na upiększenie i wystrojenie Aten. Ten zarzut płytki i powierzchowny ciągnie się jakby nić czerwona przez wszystkie krytyki demokracyi i symmachii ateńskiej. Chciano zagłuszyć słowa prawdy, głoszone przez Peryklesa, że do płaconych tylko pieniędzy, zamiast posług wojskowych, stracili prawo związkowi. Winę ich niewątpliwą w tem wytknął dziejopisarz Tucydydes, że się dali wyręczać w spełnianiu swych obowiązków czujnym i czynnym Ateńczykom. Przez zbytek i nierozwagę doszli do tego, że odwykłszy od broni a nawykłszy się bać i schlebiać, stali się wnet poddanymi i niewolnikami ateńskiego demosu. Tenże demos ateński usamowolnił się pracą, przez nią bowiem osiągnął panowanie na morzu; natomiast sprzymierzeńcy przez gnuśność i opieszałość spadli w poddaństwo oraz niewolę. Uznał tę ewolucyę wbrew głosom innych Hellenów twórca traktatu o Ustawie ateń-

skiej, wcale nie pragnąc politycznego rozdarcia, które mąż stanu i mowca Tucydydes przygotował, następnie sofista Antyfont ujął w dogmat i jednostronną doktrynę o stanie prawnym, o eunomia. Jeśli mój domysł jest słuszny, że autor Politei ateńskiej dał odprawę obrońcy stanu prawnego z czasów Solona, to mielibyśmy w dochowanych wyimkach z Prawdy Antyfontowej jeszcze starszy zabytek z przed r. 424., który uchodzi za czas wydania najdawniejszego pomnika prozy attyckiej, pseudoxenofontowej broszury.

Całkiem inny, niż z marzycielskich poglądów Antyfonta o naturalnym kontrakcie wolnych obywateli, jakby podług Umowy społecznej Rousseau'a, o wiele rzeźwiejszy i trzeźwiejszy duch wieje z przemówień sofisty i retora Gorgiasa z Sycylii. Stamtąd, jak wogóle z Zachodu, szedł prąd przeciwny miękkości jońskiej i kosmopolityzmowi, popęd do wytwarzania państw wielkich za przykładem Gelona i Hierona. Owóż prawidło Sikeliotów w redakcyi Gorgiasa tak opiewało, że przyrodzoną siłą rzeczy nie słabszy przewodzi nad mocniejszym, lecz mocni stale dochodzą do władzy nad słabymi. Powyższa ta zasada powtarza się niejednokrotnie w literaturze greckiej, a przyswoili ją sobie Ateńczycy w poselskiej mowie u Tucydydesa (I. 76), gdzie t. zw. „słusznemu wywodowi“ w obłudnych słowach spartańskich przeciwstawione jest zdanie, że raczej chwalić należy tych, co według przyrodzonego ludziom usposobienia, mając możność po temu, nie gwałcą sprawiedliwości i władzy nie nadużywają. Perykles w swojej ostatniej mowie u Tucydydesa wyborny ukuł wyraz o takich, co dobrodusznie radziby wyrzec się panowania nad zgnuśniałymi i zniewieściałymi sprzymierzeńcami; używa o nich słowa andragathídzesthai, udawać dobrych ludzi (II, 63) i ciska im w oczy zarzut, że gdyby gdzie zamieszkali rządząc się sami dla siebie, wnetby zaprzepaścili państwo. Skutkiem bowiem ich bezczynności miasto rządzące musiałoby spaść do poziomu poddanych grodów, których to właściwością jest: służyć bezpiecznie.

Kosmopolita Arystyp w rozmowie z Sokratesem u Xenofonta (Memor. II. 1) nie chciał należeć ani do miast rządzonych ani rządzących. Pierwsze bowiem pragnęłyby mieć na usługi rządzących, aby im tylko jak najwięcej dobrego wyświadczali, a sami nie korzystali z niczego. Natomiast ci rządzący ochoczo biorą na siebie wiele zajęć i nakładają na drugich. Siebie samego zalicza

jednak Arystyp do chcących żyć jak najłatwiej i najprzyjemniej. Przeto obiera jakąś drogę pośrednią między niewolą a panowaniem, która przez wolność prosto ma wieść do szczęścia! Na to Sokrates dał pamiętną odpowiedź Arystypowi, że uwzględniając trafnie stosunki ludzkie, takiej drogi środkowej między rządcami a rządzonymi nie znajdzie nigdzie śród ludzi. Zawsze i wszędzie silniejsi opanowują słabszych, prywatnie czy politycznie. To stanowisko realne, jakie zajął Sokrates wbrew czcicielowi wygody i przyjemności, na wskroś się sprzeciwia indentycznej doktrynie Eurypidesa w tragedyi: Hiketydy. W tej sztuce właśnie tragik ateński zaleca pewien umiarkowany środek, coś na kształt juste milieu, którego trzymanie się utopijne ma przywrócić na świecie wolność, równość, braterstwo i zapobiedz wszelkiemu jedynowładztwu, wojnom i uciskaniu jednych przez drugich. Takież marzenia o prawnopaństwowym porządku i sprawiedliwym ustroju znane nam są z fragmentów sofisty Antyfonta. Bogactwo, pokój i sztuki piękne — oto bożyszcza tego odłamu sofistów, którego sprawcą był niewątpliwie Prodykos, Antyfont krzewicielem, a Eurypides gorącym wyznawcą i zwolennikiem. Możnaby ten kierunek sofistyki porównać z sentymentalnym i romantycznym prądem w Europie. Najlepiej go cechuje praktyczna bezradność. Inną drogę obrano w Atenach, mniej idealną, ale pewniejszą i przeciwstawiono sobie wyraźnie: silnych z jednej, a słabych z drugiej strony.

Jak romantyczna szkoła niemiecka z Schellingem oraz braćmi Schleglami od wolnomyślnych wyszedłszy zasad, skończyła na ortodoksyi, tak Prodykos w swym Heraklesie na rozdrożu przedstawił ideał prawowiernego Heraklesa, któremu zwłaszcza w Sparcie i Tebach nie szczędzono poklasku. I nie dziwota. Kto, jak niemiecka romantyka lub wcielona przez Prodykosa w postać kobiety cnota, uwzględnia tylko naturę obok przeszłości i tradycyi, w przyrodzie dostatecznego nie znalazłszy oparcia dla ducha, musi się nieodzownie wstecz cofać. Całkiem przeciwnie do szkoły, której pierwocin szukać należy w moralnym i estetycznym dekadentyzmie warstw oświeconych, cynik Antystenes ujął w system etykę ludzi oddanych pracy i czynom. Zmiana pomiędzy tamtym a tym sposobem zapatrywania uwydatniła się nawet w stylu i kolorycie i miejsce prozy rytmicznej, kwiecistej i przesyconej poetyckimi zwrotami zajęła proza potoczna, codzienna, niewyszukana, którą Antystenes miał po mistrzowsku władać. Takiejże prozy używał Sokrates w przeciwieństwie do Prodykosa,

o którego wysoce strojnej mowie wyraził się on z podobną ironią, z jaką swój własny zwyczaj mówienia porównał z napuszonością innych. Najlepiej uwidocznia różnicę dwóch stylów i charakterów, Prodykosa i Protagorasa, porównanie ich opowieści o Heraklesie (Xen. Mem. II, 1, 21—33) i Prometeuszu (Plat. Protag. 320 D — 322 D). Prodykos starał się być naturalnym i wielbił cnotę, zdobną naturalnością, a pisał ekscentrycznym i egzaltowanym językiem; tymczasem prostszym chciał być Protagoras od przyrody, jakoż istotnie osiągnął wyższą i poprawniejszą od przyrodzonej prostotę słowa i myśli.

Błyskotliwością antitez i retorycznych figur celował Gorgias, któremu zarzucić trzeba, że zdegradował sferę umysłowego poznania, tak rozumując: prawdy bezwględnej niema, a zatem wszystkie zdania są mniej więcej omylne; jeśli zaś jest przedmiotowa prawda, to drogą podmiotowych dociekań nie da się zbadać; albo jeżeli jest prawda objektywna i subjektywnie można ją zgłębić, to niepodobna jej innym objawić. W negacyi tedy zupełnej bytu, albo przynajmniej w uznaniu niedostępności jego pojęcia, Gorgias prześcignął Heraklita i Protagorasa, którzy twierdzili wprawdzie, że wszystko istnieje, a oraz nic nie istnieje, bo wszystko staje się we wszechświecie, lecz nie twierdzili wcale, iżby ów niebyt tyczył się także myśli ludzkiej i tego mikrokosmosu, jakim jest człowiek, miara wszechrzeczy, tak tych co istnieją, jak tych co nie istnieją. Zbadanie nawet istoty bogów Protagoras tylko do czasu uważał za utrudnione, a nie bynajmniej za niemożebne. Przeciwnie cynik Antystenes, którego twierdzenia są odwróceniem paradoksów Gorgiasa, wierzył w prawdę bezwzględną, z góry daną i objawioną, co do której nie wolno się mylić, nie trzeba sprzecznych wygłaszać poglądów i nie można mieć naukowo utworzonego przekonania. Sceptyczną była podstawa rozumowań Gorgiasa, Antystenesa zaś dogmatyczną, Lecz uroszczeniem przedwczesnem i nieumiejętnem jest mniemanie, że prawdę bezwzględną już się posiada, albo że się jej nigdy posiąść nie zdoła. Toteż Protagoras strzegł się uogólniania, a dążenie i dojście do absolutnej prawdy czynił zawisłem od oświaty i od dłuższego nad życie ludzkie okresu. Stał się dlatego właśnie szermierzem społecznego rozwoju i utorował drogę etycznej reformie Sokratesa.

Nie przemawiały im obu do przekonania żadne teorye słabych, głoszone przez Prodykosa i Antyfonta, o absolutnej i przyrodzonej niby równości jednostek ludzkich, aniteż sprytna i wyrafinowana teorya gwałtu rzekomo naturalnego u zbyt pochopnych

uczniów Gorgiasa: Polosa i Kalliklesa, którzy zdrową zasadę w umiarkowanym realizmie samego mistrza spaczyli. Obaj - tak Protagoras jak Sokrates, wiedzieli o tem, że „gwałt i słabość bronią wchodu“ do normalnego funkcyonowania ludzkich spraw i stosunków w państwie i społeczeństwie; wiedział o tem szczególnie pierwszy z sofistów, że prawo mocniejszego ma swą odwrotną stronę w haśle, którego bronił przez swą naukę, by sprawę słabszą czynić silniejszą i dopomagać jej do zwycięstwa. Tej genetycznej strony problemu, ustawicznego stawania się, ruchu, ciągłej przemiany i wymiany pomiędzy teoretycznie równymi a praktycznie różnymi, tego współzawodnictwa i współdziałania ogółu i jednostek na wspólnym gruncie państwowym, nie uznawały i nie uznają wszelkie doktryny skrajne przeciwpaństwowe, n. p. o nadludziach Nietzschego lub Kalliklesa i antikulturne wsteczne à la Tołstoj-Rousseau lub Prodykos-Antyfont. Tło i metoda przeciwnie, tak u Protagorasa jak Sokratesa, były etyczno-polityczne, te same. Współcześni nie robili pomiędzy nimi wcale różnicy, którą dowolnie stworzył Platon, wyodrębniając mistrza swojego, wzorowego sofistę, od wszystkich innych sofistów. Nie ich działalność była szkodliwa, zgubna, rozkładcza; lecz rozwinięty program w platońskich dziełach: w Państwie i Prawach, oznaczał zastój i ubezwładnienie greckiej kultury.

Stanisław Schneider.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.